PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

- NOWE ZNAKI DROGOWE
- RZECZNIK UOP – PRYWATNIE
- UCIECZKI MAŁOLATÓW
- MIŁOŚĆ I ZBRODNIA
- ŻYCIORYS MENELA
- POLICJANCI – DETEKTYWI

12 1993

NR 12 (1955) ● 20 VI 1993 ● CENA 7000 Zł

zdj. K. Mokrzyszewski

PRZESŁUCHANIA POLSKICH ŚWIADKÓW

Afera karabinowa

Bomba, i to w skali ogólnoświatowej, wybuchła 26 marca 1992 r. Poprzedniego dnia w Nowym Jorku, prokuratura amerykańska ujawniła dziennikarzom, iż 10 marca 1992 roku we Frankfurcie nad Menem i w Nowym Jorku aresztowano ponad 10 osób: kilku Amerykanów, jednego Niemca i sześciu Polaków (Wojciecha Barańskiego, Jerzego Brzostka, Jana Góreckiego, Zbigniewa Górkę-Grabowskiego, Jerzego Napiórkowskiego, Rajmunda Szwondera). Szczególnie szeroko rozpisywano się o Polakach; prawie wszyscy związani byli z obalonym reżimem komunistycznym — wysocy urzędnicy państwowi, a wśród nich emerytowany generał, były konsul w Waszyngtonie, były wiceminister i wicedyrektor państwowej fabryki broni. Oskarżeni oni zostali o próbę przemytu dużej ilości broni do Iraku. Kraj ten jest objęty embargiem ONZ.

Prasa krajowa pisała (powtarzając za amerykańską) o „polskiej szajce", „przemycie stulecia", „zbrojeniowych gangsterach". Dopiero później zaczęto trochę chłodniej relacjonować materiały podrzucane polskim korespondentom w USA i przedstawiać racje strony polskiej. Okazało się, że „Akcja pułapka" (tak prawidłowo tłumaczy się amerykański kryptonim „Sting") zorganizowana została przez agentów amerykańskich służb celnych. Posłużyli się oni wątpliwą bardzo postacią, swoim rodakiem Ronaldem Hendronem, który — jak później powiedział — był przekonany, iż rzekomi kupcy są agentami CIA, którzy chcą dostarczyć broń irackim Kurdom. Teraz Hendron jest tak zwanym świadkiem koronnym. Już 17 września ub. roku podpisał z urzędem prokuratorskim umowę na wystąpienie w roli świadka oskarżenia, w zamian za złagodzenie wyroku sądowego.

Po długich perypetiach, amerykański sędzia Nickerson, wystąpił do polskich władz o pomoc prawną i oficjalne przesłuchanie świadków obrony na terenie Polski. Cały czas próbowała do tego nie dopuścić prokurator Tanya Hill, prowadząca od początku tę sprawę. Wysuwała propozycje odbycia przesłuchań na terenie krajów neutralnych, twierdziła, że do Polski nie przyjedzie, gdyż obawia się porwania, a nawet zamordowania. Ostatecznie zjawiła się w dniu przesłuchań, 3 czerwca, przyjeżdżając do sądu prosto z lotniska. Towarzyszył jej specjalny agent amerykańskich służb celnych Michael Karcher i przydzielona przez ambasadę USA agentka ochrony. Przywieźli do sądu na podręcznym wózku bagażowym kuferek z materiałami sprawy.

Przesłuchania odbywały się w warszawskim sądzie rejonowym. Prowadził je sędzia Marek Celej, z wielką kulturą i spokojem. Przesłuchiwano według procedury amerykańskiej (dającej równorzędne prawa obronie i oskarżeniu), ale zgodnie z polskim kodeksem postępowania karnego. Dzięki temu, kiedy obrona lub prokurator zgłaszali „sprzeciw", co zdarzało się bardzo często, sędzia nakazywał zaprotokołowanie tego, ale zezwalał na zadanie pytania i odpowiedź, które też były zapisywane w protokole. O tym, czy „sprzeciw" zostanie uwzględniony, zadecyduje sędzia amerykański po zapoznaniu się z protokołami przesłuchań i nagraniami audio i video, na których utrwalano ich przebieg. Obserwatorzy przesłuchań mogli też zapoznać się z inną amerykańską procedurą prawną: „crossegzamination", czyli tzw. „krzyżowym" sposobem zadawania pytań przez prokuratora.

Przesłuchani zostali: Jerzy Łuczyński — były prezes spółki ATS (z holdingu Wojtysiaka), Jerzy Wojtysiak, Rajmund Szwonder — zastępca dyrektora „Łucznika" (jedyny nie wydany Amerykanom, który przeszedł w więzieniu ciężki zawał serca), Zbigniew Tarka i Tadeusz Koperwas — byli pracownicy „Cenzinu". Wszyscy zgodnie zeznali, iż nigdy nie powiedziano im, że broń miała być skierowana do Iraku. Najciekawsze z punktu widzenia obrony były zeznania Tarki i Koperwasa. Potwierdzili oni, iż aresztowani Polacy nie mają nic wspólnego ze 100 karabinami AK-47, które na zamówienie Hendrona, wysłane zostały z bułgarskiej spółki „Kintex" przez „przykrywkową" spółkę „Urbil" (stworzona była ona dla przeprowadzania niektórych transakcji cenzinowskich).

Jednak amerykański sąd przysięgłych, przed którym odbędzie się rozprawa, dysponuje zaprzysiężonymi zeznaniami agentów, uczestniczących w rozmowach z Polakami oraz Ronaldem Hendronem i jego wspólnikiem Stanem Kinmanem, którzy podpisali umowy z prokuraturą i będą zeznawać przeciwko Polakom. Proces rozpocznie się 28 czerwca. Niezależnie od tego, co się podczas rozprawy wydarzy, będzie to proces przeciwko polskiemu przemysłowi zbrojeniowemu, bo — tak naprawdę, to jego destabilizację miała na celu „Akcja Sting".

ANDRZEJ GASS
zdj. autor

W najbliższych numerach rozpoczynamy druk „Anatomii afery karabinowej".

PROCES „REKINA"

Kapitalizm po polsku

Aleksander Gawronik w książce o sobie przyznaje, że pierwsze większe pieniądze zarobił w ten sposób, że kupował u cinkciarzy walutę, lokował na koncie w banku, po kilku dniach te pieniądze wyjmował i z zaświadczeniem o wypłacie mógł je legalnie wywieźć za granicę. Na Zachodzie kupował za to ciuchy, rajstopy i inne poszukiwane rzeczy, które z dużym zyskiem sprzedawał w Polsce.

Prawdziwy majątek zrobił jednak na kantorach wymiany walut, które założył w 1989 r. wzdłuż granicy zachodniej. Pomysł takiego przedsięwzięcia pojawił się wówczas, gdy przyszły „rekin" finansowy został po raz pierwszy poważnie oszukany przez cinkciarza. Pomyślał wtedy, że nie da im więcej zarabiać — stworzy legalną konkurencję.

Sprzyjała mu koniunktura polityczna, przychylność rządu Rakowskiego dla gospodarki rynkowej i uchwalone właśnie nowe prawo dewizowe, do którego inni biznesmeni nie zdążyli się jeszcze przyzwyczaić. Potem już pieniądz robił pieniądz, rosły też ambicje Gawronika jako właściciela Biura Handlowo-Prawnego w Poznaniu. Udało mu się m.in. podpisać kontrakt z firmą ESSO na dostawę paliw i budowę sieci stacji benzynowych. Przez krótki czas w 1991 r. był prezesem spółki Art B.

Właśnie z powodu powiązań z tą firmą został niespodziewanie we wrześniu 1992 r. zatrzymany przez UOP i decyzją prokuratury wojewódzkiej osadzony w areszcie. Przeciw byłym prezesom i udziałowcom Art B, Bogusławowi Bagsikowi i Andrzejowi Gąsiorowskiemu, przebywającym obecnie w Izraelu, toczyło się już postępowanie w prokuraturze.

Aleksandra Gawronika podejrzewano, że przywłaszczył sobie gotówkę oraz dobra ruchome znacznej wartości na szkodę spółki Art B. W przesłanym do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie w końcu 1992 r. akcie oskarżenia określono wartość tego zagarnięcia na ponad 18 mld zł.

Chodzi tu zwłaszcza o 33 obrazy oraz inne dzieła sztuki, które Gawronik zabrał z rezydencji należącej do Art B — Dworku Polskiego w Pecicach.

Podejrzany utrzymywał w śledztwie, że obrazy te przejął na podstawie umowy z Bagsikiem, jednak nie przedstawił jej oryginału, tylko kserokopię. Nie była ona też zarejestrowana w urzędzie skarbowym. Na tej podstawie prokuratura zarzuca oskarżonemu, że umowa została spreparowana.

Za działanie na szkodę Art B uznano przyjmowanie przez Gawronika znacznych sum pieniędzy od innych spółek (m.in. jako zwrot pożyczki udzielonej przez Art B), mimo że nie miał do tego uprawnień oraz przekazywanie ich na konto własnego Biura Handlowo-Prawnego.

Akt oskarżenia obejmuje też sprawę transakcji handlowej, jaką w 1986 r. Aleksander Gawronik zawarł z obywatelem szwedzkim Kamilem D. Za 10 komputerów zapłacił jedynie 10 tys. dolarów, zamiast umówionych 35 tysięcy. Potem nawet usiłował wycofać i tę wpłaconą sumę. W śledztwie tłumaczył, że komputery otrzymał w spadku po matce, potem zmienił wyjaśnienie twierdząc, że sprzęt okazał się niższej jakości od spodziewanej.

Prokurator oskarża Gawronika o przestępstwa m.in. z art. 204 § 1 k.k., oraz art 205 § 1 k.k. Mowa jest w nich o przywłaszczaniu sobie cudzego mienia ruchomego, za co grozi kara pozbawienia wolności do 3 lat, oraz doprowadzeniu innej osoby do niekorzystnego rozporządzenia mieniem, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, za co grozi kara od 6 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

Obrońca Maciej Dubois, zaangażowany przez Aleksandra Gawronika, jeszcze w trakcie śledztwa, był zdania, że zarzuty stawiane jego klientowi mają charakter cywilistyczny. Uważał też, że sprawa nie należy do kategorii przestępstw polityczno-gospodarczych skierowanych przeciwko państwu i dlatego czynności z nią związanych nie powinien wykonywać UOP.

Tę ostatnią opinię powtórzył w sądzie podczas pierwszej rozprawy, jaka miała miejsce 1 czerwca br. Wnioskował, by proces Aleksandra Gawronika odroczyć, a nawet zwrócić akta sprawy do prokuratury, ponieważ — zdaniem obrony — są one niekompletne i nieuporządkowane.

Sąd mimo protestu prokuratora Jerzego Iwanickiego, (z przewodniczącym składu Tomaszem Grochowiczem) na razie przychylił się do jednego wniosku obrony, by do akt sprawy dołączyć nagrane i spisane wyjaśnienia udziałowców spółki Art B Bogusława Bagsika i Andrzeja Gąsiorowskiego, przesłuchiwanych wielokrotnie w ich własnej sprawie. Na zapoznanie się z tymi materiałami strony mają czas nieokreślony.

Aleksander Gawronik przebywa na wolności i może nadal prowadzić swoje interesy, ponieważ już trzy tygodnie po aresztowaniu Sąd Apelacyjny zdecydował o jego zwolnieniu w zamian za 3 mld zł poręczenia majątkowego. W listopadzie ub. r. zamieniono „rekinowi" polskiego biznesu dozór policyjny na osobiste poręczenie prof. Zygmunta Religi.

Można jedynie zapytać, czy nadal jego dochody osiągają 8 mld rocznie (a może miesięcznie, bo w sądzie przyznał się do tej sumy niechętnie i bardzo cicho)?

HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA

To już druga kronika w nowej wersji. Tym razem nieco krótsza, co nie oznacza, że zdarzyło się mniej tragedii kryminalnych. W dniu, w którym oddajemy materiały do druku, dowiedzieliśmy się, że w okresie weekendu 5 i 6 czerwca zanotowano 32 samobójstwa (w tym 2 nieletnich) oraz 17 przypadków znalezienia zwłok (w tym 3 o nieustalonej tożsamości).

W czasie weekendu zdarzyło się też 314 wypadków drogowych, w których poniosło śmierć 28 osób, a 404 zostały ranne. Najtragiczniejszy wydarzył się 6 czerwca w woj. leszczyńskim, gdzie kierowca żuka (trzeźwy) zjechał na pobocze i uderzył w drzewo. W wypadku zginęły 3 osoby, kierowca i pozostałych 4 pasażerów trafiło do szpitala.

W dokumentach policyjnych odnotowano również 3 wypadki kolejowe, w których 4 osoby zostały zabite. W ciągu dwóch wolnych od pracy upalnych dni zdarzyło się ponadto w kraju 19 utonięć (w tym 6 dzieci).

W DOMKU NAD STAWEM

On ma 19 lat, ona 46. Przyjechała z dzieckiem do jego matki. Nie było jej w domu, ale zastała Arka, syna swojej koleżanki. Jej 9-letnie dziecko pobiegło bawić się nad stawem. Pani Halina i Arek postanowili się czegoś napić. Najpierw było wino, potem mocniejsze trunki.

Między godziną 16.00 a 17.00 mieszkający w drugiej części parterowego budynku sąsiedzi słyszeli jakieś krzyki. Jak zwykle postanowili nie wtrącać się. Kiedy zaczął się „Teleexpress", wszystko ucichło, aż byli zdziwieni, że taki spokój zapanował za ścianą.

Do domu przyszedł ojciec Arka, rozwiedziony z jego matką. Ponieważ na pukanie nikt nie odpowiadał, zajrzał przez okno. Na podłodze leżała jakaś kobieta. Wyważył drzwi i wtargnął do środka. Natknął się na zwłoki 46-letniej Haliny P. Zawiadomił Policję.

Funkcjonariusze z KRP w Grodzisku Mazowieckim natychmiast udali się na miejsce. Przystąpili do oględzin i rozmów z sąsiadami. Zaczęli szukać 19-latka.

Godzinę później Arek i jego mama zgłosili się w komendzie. Arek przyznał się, że jakąś godzinę temu udusił znajomą swojej mamy. Podobno zaczęła się do niego dobierać, a on nie miał ochoty. Potem, kiedy mu się odmieniło, ona nie chciała. No to się zezłościł i... Resztę znamy.

Czy tak było naprawdę? Tego już nigdy się nie dowiemy...

T.N.

ZBRODNIA NA PRZEPUSTCE

Kiedy 15 maja br. o godz. 6.30 przyszedł do pracy dozorca Zakładu Gospodarki Komunalnej w Barczewie (woj. olsztyńskie), na podłodze leżały zmasakrowane zwłoki jego zmienniczki Krystyny C. Natychmiast zawiadomił Policję.

STÓJ! POLICJA!

WYBÓR ZDARZEŃ KRYMINALNYCH

pod redakcją Marcela Tabora

Policyjni dochodzeniowcy w jednej z wersji przyjęli, iż sprawcami zbrodni są przepustkowicze z miejscowego zakładu karnego. W ciągu 24 godzin ustalono, że zabójcami są 33-letni Zbigniew G. i 39-letni Witold K. z Ośrodka Zewnętrznego Zakładu Karnego w Barczewie z siedzibą w Zardenikach. Na wniosek KRP w Olsztynie prokurator rejonowy wydał nakaz ich aresztowania. Zeznania jednego z podejrzanych Witolda K. pozwoliły odtworzyć hipotetyczny przebieg wydarzeń.

W nocy z 15 na 16 maja br. między godziną 0.00 a 3.00 obaj podejrzani przechodząc obok posesji ZGK w Barczewie poprosili dyżurującą tam Krystynę C. o umożliwienie im skorzystania z telefonu. Kiedy dozorczyni wpuściła ich do budynku, przestępcy zaatakowali ją nożem i prętem zbrojeniowym, powodując ciężkie rany głowy i śmierć ofiary. Po dokonaniu zabójstwa sprawcy obmyli się w rzece i pojechali okazją do miejscowości Jeziorany (gdzie Witold K. usiłował zakupić towar za fałszywy banknot o nominale 1 mln zł), po czym powrócili do miejsca odbywania kary. Nadal brak wyjaśnienia rzeczywistych okoliczności zbrodni, gdyż sprzeczne są zeznania podejrzanych. Witold K. był skazany z art. 208 i 203 par. 1, na karę 7 lat, a Zbigniew G. z art. 210 k.k. na karę 4,5 roku pozbawienia wolności. Śledztwo trwa.

W.G.

ŻYCIE ZA MILION

Kiedy dziennikarze „MK 997" przyjechali 5 czerwca do Ostrołęki, zobaczyli stojący przed budynkiem Komendy Wojewódzkiej Policji mikrobus z roztrzaskaną przednią szybą. Samochód miał rosyjską rejestrację. Na placu obok komendy pracowała ekipa dochodzeniowo-śledcza przy ciemnej ładzie samarze. Jej właściciel od kilkunastu godzin nie żył.

Był nim 43-letni obywatel Białorusi, szef dzielnicowej komendy milicji w Mińsku, Nikołaj I.I. Przyjechał do Ostrołęki kilka dni wcześniej z żoną i znajomymi (właścicielami mikrobusu), żeby pohandlować. Na bazarze zdarzył im się niemiły wypadek. Jacyś mówiący po rosyjsku ludzie chcieli kupić od nich bluzkę płacąc 1-milionowym banknotem. Nikołaj I. wydał im sporą resztę...

Po krótkim czasie zorientował się, że banknot jest podejrzany, prawdopodobnie fałszywy. Odszukał niefortunnych klientów i zażądał zwrotu bluzki oraz pieniędzy. Nie chcieli o tym słyszeć. Zaczął im grozić, powiedział, że jest funkcjonariuszem milicji, że zawiadomi polską policję. Wszystko na nic.

4 czerwca wieczorem małżeństwo I. wraz z dwoma znajomymi pojechało ładą i mikrobusem nad Narew. Chcieli tam przy ognisku coś zjeść i odpocząć. Było po 22.00, gdy nagle z ciemności wyłoniło się trzech mężczyzn. Jeden z nich zawołał do Nikołaja I. po rosyjsku: co, mafia ci się nie podoba? Będziesz policję informował? Po chwili padł strzał, a pocisk zranił go w głowę.

Znajomi Nikołaja I. chcieli biec za napastnikami, lecz jego żona powstrzymała ich krzycząc, żeby ratować męża. Zawieźli go do szpitala, ale lekarz mógł jedynie wypisać akt zgonu. Wcześniej bandyci zdążyli jeszcze potłuc szyby w mikrobusie żelaznymi łomami.

Intensywne śledztwo w tej sprawie trwa. Policja ustaliła podejrzanych narodowości ukraińskiej. Znaleziono u nich rewolwer, z którego zastrzelono milicjanta. Prokurator zastosował wobec nich areszt tymczasowy.

H.S.

zdj. K. Mokrzyszewski

RODZINNY TRÓJKĄT

Funkcjonariusz z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KRP w Elblągu powiedział, że w ciągu 16 lat swojej służby nie spotkał się z podobnym wypadkiem. Był to tragiczny finał sytuacji, w którą nieodpowiedzialna matka oraz jej nowy mąż uwikłali swoją 14-letnią córkę i pasierbicę.

Po śmierci męża 40-letnia obecnie Irena T. wyszła powtórnie za mąż. Jej partner, 43-letni Zdzisław T. wykazywał seksualne zainteresowanie zarówno matką, jak i jej 14-letnią córką Beatą. Wytworzył się swoisty „trójkąt", w którym mąż i ojczym utrzymywał stosunki z żoną, jak i z jej córką. Jak wykazało prowadzone w tej sprawie śledztwo, odbywały się one jednocześnie lub też w obecności dziecka (matka i ojczym nie nadużywali alkoholu).

Trwało to kilka miesięcy, dokładnie od stycznia do 22 maja br., kiedy to matka pchnęła w brzuch nożem swoją córkę z powodu zazdrości o męża, który także był przy tym obecny. Dziewczynka została bardzo poważnie zraniona i przebywa w szpitalu. Jej życie nie jest już zagrożone.

Matka i ojczym zostali aresztowani. Irena T. będzie odpowiadać za usiłowanie zabójstwa dziecka i za uprawianie w jego obecności czynów nierządnych. Zdzisław T. stanie przed sądem także za dopuszczanie się czynów lubieżnych w stosunku do swojej pasierbicy.

H.S.

NARODZINY MILIARDERA

37-letni Leon N. miał, jak mawiali jego kumple, głowę pośrodku. Niewielkim wysiłkiem i ruchliwością mózgu potrafił „robić" wielkie pieniądze. W przestępczy sposób nabył 4 kg poszukiwanego przez różne firmy tlenku skandu i zbył go Przedsiębiorstwu Produkcyjno-Handlowo-Usługowemu „Interprod" Eksport-Import w Poznaniu za blisko półtora miliarda złotych. Jego zysk sięgnął prawdopodobnie 50% tej kwoty. Oczywiście Leon N. nie „podzielił się" zarobionymi pieniędzmi z urzędem skarbowym.

Podobnie uczynił w kolejnym przypadku, który napychał mu kieszenie setkami milionów złotych. Zataił przed urzędem skarbowym rozpoczęcie działalności przez utworzoną, m.in. z jego inicjatywy polsko-litewską spółkę joint venture „Laudarsema", przez co naraził skarb państwa na uszczuplenie podatkowe w wysokości pięciu i pół miliarda złotych.

Po operacyjnym rozpoznaniu sprawy, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy KWP w Legnicy wystąpił do prokuratora z wnioskiem o aresztowanie Leona N. Prokurator uznał wniosek za w pełni zasadny i zastosował wobec podejrzanego areszt tymczasowy. Funkcjonariusze KWP podejrzewają Leona N. o wiele innych przestępstw karno-skarbowych. Śledztwo w toku.

E.N.

W POLSKĘ IDZIEMY

Zakłady Wytwórcze Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „EMIL" w Żychlinie woj. płockie, przędą, jak mogą. Dlatego też suma 420 milionów, jakie wysupłał dla nich warszawski bank, bardzo by im się przydała. Niestety, wzięła je sobie, ot tak, córka skromnej księgowej, piętnastoletnia panna Dagmara.

Pieniądze te księgowa pobrała 27 maja w Warszawie i o godz. 18.00 zameldowała się z nimi w domu, bo bramy zakładu były już zamknięte. Poprosiła córkę i syna, aby nie wpuszczali nikogo do mieszkania, bo za fotelem (tam postawiła torbę) jest duża suma pieniędzy. Później udała się na zakupy, syn poszedł grać w piłkę i oboje wrócili do domu o godz. 20.00. Zamiast torby z pieniędzmi był tylko list. Dagmara przepraszała za drobne kłopoty, ale postanowiła za owe 420 milionów razem z koleżanką z I klasy liceum w Kutnie Agnieszką poznać trochę życie.

Policja zarządziła ogólnokrajowe poszukiwania. Po dotarciu komunikatu do jednostek, policjanci z Suwałk błyskawicznie skojarzyli, że do poszukiwanych pasują jak ulał dwie panienki szastające na lewo i prawo pieniędzmi w hotelu „Czarna Hańcza". Gdy je zatrzymano, wydały już ponad 200 milionów! Kursowały przez tydzień taksówkami po całym kraju (taksówkarz z Zakopanego, który dowiózł je do Suwałk, miał chyba kurs życia). Kupowały najdroższe ciuchy, sprzęt audiowizualny. Teraz matka Dagmary będzie musiała za to wszystko zapłacić...

Z.P.

— Ludziom obdarzonym społeczną wrażliwością, największy ból sprawia przestępczość nieletnich — powiedział już na wstępie naszej rozmowy kom. dr Mirosław Jamrożek z kieleckiej Policyjnej Izby Dziecka.

POLICYJNY TELEFON ZAUFANIA

Pracował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach na stanowisku dydaktycznym. Uzyskał doktorat, współuczestniczył w kształtowaniu przyszłych nauczycieli. Jednakże trzy lata temu, zaniepokojony rosnącą przestępczością nieletnich postanowił zmienić miejsce pracy. Wstąpił w szeregi Policji. Poprosił o skierowanie go do służby w izbie dziecka. Chciał ratować dzieci stojące nad przepaścią. Z jego inicjatywy rozpoczął działalność telefon zaufania. Inicjatywa dr Jamrożka została przez miejscową prasę spopularyzowana.

Przyjęto założenie, iż z telefonu zaufania mogą korzystać dzieci oraz ich rodzice i opiekunowie, bez konieczności ujawniania swych nazwisk i adresów. W myśl zapowiedzi oczekiwano takich rozmówców, przede wszystkim nieletnich, którzy są nakłaniani do przestępstw lub już je popełnili, lecz pragną wycofać się z tej drogi, tylko nie wiedzą, jak to zrobić.

Przy telefonie zaczęli dyżurować doświadczeni pedagodzy w policyjnych mundurach. Naturalnie z dr. Mirosławem Jamrożkiem na czele. Na niego cedowano przypadki wyjątkowo trudne. Zainteresowani dzwonili przeważnie z publicznych automatów. A zatem rozmowy musiały być krótkie, zakończone jakąś decyzją. Kom. Jamrożek oraz jego koledzy wyrażali niemal każdorazowo chęć spotkania się ze swymi rozmówcami w dowolnie wybranych miejscach, takich jak skwer, park czy boisko sportowe, a nawet przystanek autobusowy. Zapewniali, że w pobliżu nie będzie dyżurnego radiowozu, bo to nie żadna pułapka, a chodzi jedynie o rozmowy, życzliwe rady i pomoc w każdej, możliwej do przyjęcia formie oraz postaci.

Idea nie spaliła na panewce. Telefon zaufania przy policyjnej izbie dziecka wzbogacił dotychczasowe formy wychowawczego oddziaływania kieleckiej Policji na nieletnich wchodzących w konflikt z prawem. Klientami telefonu stali się również opiekunowie i rodzice tzw. trudnych dzieci. Można by nawet powiedzieć, iż na początku oni stanowili większość dzwoniących. Wielu rozmówców z tej grupy w trakcie telefonicznego dialogu z własnej woli rezygnowało z anonimowości. Pragnęło bowiem, by oferowana ze strony Policji „niepolicyjna" w skutkach pomoc była jak najefektywniejsza. A w tym celu trzeba się było „odsłonić" przynajmniej częściowo.

Tak też postąpiła Zofia, kobieta o wykształceniu pedagogicznym. Mimo sporej wiedzy nauczycielskiej, nie mogła sobie poradzić z siedemnastoletnim synem, który wykorzystywał seksualnie ośmioletniego brata.

— Chętnie poprosiłabym pana do domu — zapewniała kom. dr. Jamrożka pani Zofia. — Lecz o takim spotkaniu dowiedziałby się mąż. On jest bardzo rygorystyczny wobec synów. Mógłby im sprawić tęgie lanie, co miałoby, jak sądzę, nienajlepszy skutek. Ten starszy syn mógłby uciec z domu.

W takim razie, czy zechciałaby pani przyjść z synem do izby?

Siedemnastolatek był blady, drżał na całym ciele. Ale nie stawiał psychicznego oporu. Szybko się rozluźnił i swobodnie odpowiadał na stawiane mu pytania. Twierdził, że popęd seksualny rozbudziła w nim mimo woli matka, z którą sypiał w jednym łóżku do trzynastego roku życia. Jej półnaga bliskość potęgowała budzące się żądze chłopca. Oznajmił, że gdyby miał jedenasto- czy dwunastoletnią siostrę, to rozpocząłby z nią współżycie płciowe. Oczywiście za jej zgodą, podobnie jak za zgodą brata...

Czuł lęk przed swoimi czynami, ale nie mógł nad nimi zapanować. Przekupował brata, by zapewnić sobie jego dyskrecję. W końcu jednak wydało się. „Całe szczęście — mówił — że tajemnicę odkryła tylko matka".

Znając już tło sprawy, kom. Jamrożek mógł podjąć ze swymi klientami wieloaspektowe rozmowy. Matka i syn w pełni zrozumieli przyczyny oraz skutki złych praktyk. Chłopiec złożył coś na kształt przysięgi, że natychmiast zaprzestanie procederu, który kaleczył jego i brata psychikę. Pani Zofia zapewniła, że będzie w stałym kontakcie z policyjnym wychowawcą.

Nie ukrywał swej rozpaczy także Wiktor. Dzwoniąc pod numer telefonu zaufania miotał się w skrajnościach. — Chyba ją zabiję! — wołał do mikrofonu. A po chwili: powiem jej prawdę, że jest przybłędą. Niech sobie idzie dokąd chce. Koniec z opieką!

Trudno było nawiązać spokojną rozmowę. Dzwonił z jakiegoś biura, gdzie jak twierdził, zajmuje eksponowane stanowisko. Z kom. Jamrożkiem umówił się w kawiarni. Przyszedł punktualnie i już spokojnie zreferował swój problem.

Ma 14-letnią adoptowaną córkę, którą obecnie sam wychowuje. Dziewczynka dobrze się uczyła i sprawowała, póki nie wpadła w „sidła" dziewiętnastoletniego chuligana notowanego przez Policję. On, dysponując wolnym mieszkaniem, zatrzymuje Magdę na noce. Pewnie rozpoczął z nią współżycie seksualne, o czym dziewczyna nie chce mówić. Gdy ojciec próbował zaprowadzić ją do ginekologa, ona oświadczyła, że wyniesie się na stałe do tego chłopaka. Co robić?

Po sprzeciwie i kilkudniowej odmowie, Magda zgodziła się wreszcie spotkać z policjantem. — Ojciec jest dobry i czuły, lecz nieżyciowy — powiedziała. — Wciąż uważa mnie za dziecko, nie pozwala umówić się z żadnym chłopcem.

Gdy ponad dwugodzinna rozmowa dobiegała końca, Magda zgodziła się, by w jej zakończeniu uczestniczył ojciec. Objęła go za szyję i mocno ucałowała. Cyniczny, rzeczywiście notowany przez KRP dziewiętnastolatek, zaprzestał spotykać się z dziewczyną.

Trudnym przypadkiem dla kom. Jamrożka był trzynastoletni uciekinier z domu rodziców.

— Początkowo wiedziałem, co robić, ale teraz już nie wiem, co z sobą począć. Jestem głodny, sypiam w piwnicach — oznajmił przez telefon.

Zgodził się przyjść do izby. Otrzymał ciepły posiłek, co poprawiło mu samopoczucie.

Uczęszczał do szóstej klasy szkoły podstawowej w woj. kieleckim. Jednym z nauczycieli jest tam jego ojciec. Wychowawczyni zwracała Andrzejowi uwagę, że źle się na lekcjach zachowuje. Po kilku bezskutecznych napomnieniach, interweniowała u ojca swawolnego chłopca. Ten zaś postanowił ukarać syna. Na oczach całej klasy dał mu w skórę.

Andrzej nie mógł znieść takiej kompromitacji. Jeszcze tegoż dnia uciekł z domu. Przyjechał do ciotki mieszkającej w Kielcach. Pobył u niej tylko trzy dni, gdyż nakłaniała go, by wrócił do rodziców. Tego zaś nie chciał. Chodziły mu po głowie samobójcze myśli.

Czy pogodzi się z ojcem?

Tak, ale jeśli ojciec przyrzeknie, że już nigdy nie zrobi mu takiego wstydu.

Na wieść, że syn się odnalazł, ojciec nie posiadał się z radości. Przyjechał jak tylko mógł najszybciej i złożył przyrzeczenie, któremu towarzyszyły łzy i pocałunki.

W dotychczasowej działalności telefonu takie przypadki są częste, lecz Mirosław Jamrożek spodziewa się też trudniejszych. Były już pierwsze „próbki" takowych. Dzwonili nieletni, nieujawnieni przestępcy. Chcieli wysondować jak by z nimi postąpiono, gdyby się zgłosili do izby. Obiecywali, że zadzwonią ponownie, bo chcą zerwać z niegodziwym życiem.

— Jeśli macie taką wolę, wszystko ułoży się dobrze — zapewniał policjant. — Macie na to moje słowo — dodawał.

Każda rozmowa jest dla kom. dr. Jamrożka nową porcją doświadczeń. Służy wzbogacaniu praktyki, na której został oparty telefon. Stanowi także żywe tworzywo do pisanego przez niego podręcznika dla wychowawców policyjnych izb dziecka.

EDWARD NOWAK
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

PS Imiona klientów policyjnego telefonu zaufania zostały zmienione.

Ten pokój jest teraz pusty, tak jak cały dom. Uszło z niego życie. Krzyś zostawił wszystko i pojechał w Polskę. Nie wiadomo, kiedy usiądzie przy biurku, rozłoży książki, włączy tę dziwną muzykę. Może śpi na ławce, pod mostem, może śmietnik jest jego stołówką? Żeby chociaż dał znać, że żyje! Zawsze był cichy, zamknięty i niedostępny... Co więc w nim pękło i dlaczego wybrał taki los?

Dzieci uciekają z domów najczęściej w miesiącach ciepłych. Tak jest od lat i zapewne już niedługo szpalty gazet wypełnią się zdjęciami młodych twarzy, komunikatami o zaginięciach, apelami rodziców o powrót.

WRÓĆ DO MNIE, DZIECKO!

Kształtująca się psychika młodego człowieka nie wytrzymuje stresów, pojawiających się problemów, konfrontacji ideałów z rzeczywistością. Jeśli do złamanych marzeń dodamy upadek autorytetów, brak celów i wszystkie problemy okresu dojrzewania, to często widzimy obraz człowieka załamanego, zagubionego, dla którego ucieczka z domu to zaledwie jedna z możliwości wyboru i jedno z wyjść. To przykra prawda, ale młodzież zbyt często dorasta w ciszy, samotności i nie może liczyć na subtelną więź uczuciową z najbliższymi.

● „Wysłałam swojego syna po książki, które mu były potrzebne do 7 klasy. Nie chciał po nie iść, motywując to tym, że nie dałam mu pieniędzy. Ja jednak byłam stanowcza, więc wyszedł i już nie powrócił... Syn w przeszłości nigdy nie uciekał z domu. Posiadamy gospodarstwo rolne, na którym w wolnych chwilach pracował. Nie potrafię powiedzieć, jakie miał zainteresowania, gdyż był zamknięty w sobie. Nigdy nie skarżył się, że pracuje ponad swoje siły, nie buntował przeciwko wyznaczonej pracy. Jeśli nie było nic do roboty w gospodarstwie, syn chodził do lasu. Większość czasu spędzał w domu pomagając nam. Z tego co wiem, nie miał kolegów. W szkole uczył się dobrze i nie miał żadnych problemów z nauką."

Chłopiec uciekł na początku sierpnia 1992 r., a został zatrzymany przez Policję w Warszawie 2 listopada. W rozmowie z nim ustalono, że po ucieczce przez dwa miesiące pracował w sadzie w okolicach Wilgi, a potem wyjechał do stolicy. W tym czasie włamał się po ubranie do domku letniskowego i jedzenie do kilku sklepów spożywczych. Spał pod mostem, w parkach, a gdy było chłodniej, na dworcach. Do domu nie chciał wracać.

● Robert uczył się w 2 kl. liceum. Wyjeżdżając z domu zabrał plecak, książki i 2 mln złotych. Po pięciu dniach rodzice otrzymali list z Gdyni. Być może wyjaśnił w nim powód ucieczki, ale Policji przekazano tylko, że szuka pracy w jakimś zakładzie stolarskim. Z listu pozostała tylko koperta. Reszta gdzieś się zapodziała...

Rodzina oceniła chłopca jako spokojnego, nie sprawiającego większych kłopotów, któremu w domu niczego nie brakowało. Wprawdzie słyszano, że ktoś go straszył, lecz podejrzewano, że chodzi o drobne konflikty z chłopcami z osiedla. Niestety, ustalenia Policji dały trochę inny obraz chłopca. W klasie z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Na lekcje chodził, kiedy chciał. Często widywano go w okolicach dworca PKP w Siedlcach z nieznajomymi lub włóczącego się po mieście. Chwalił się także w klasie, że nosi przy sobie gaz obezwładniający i może go kupić dla innych. Próbował rozprowadzić w szkole większą liczbę RMG, zbierał nawet pieniądze, ale do transakcji nie doszło z braku chętnych.

Robert przed ucieczką wspominał kolegom, że chce się przenieść do innej szkoły, a nawet miasta. Kto wie, może miało to jakiś związek z wizytą w szkole 3 jego kolegów? Prosili, aby przekazać mu, by przez jakiś czas nie pokazywał się.

W Gdyni szukał pracy, lecz bez odpowiednich kwalifikacji nikt go nie chciał zatrudnić. Każdą noc spędzał w starej budzie samochodowej. Dzień zaczynał od pobytu na rannej mszy w pobliskim kościele. Potem zwiedzał miasto i szukał pracy. Zrezygnowany wrócił do domu sam na początku marca.

● Ania kończy teraz podstawówkę. Pod koniec kwietnia zdarzyło jej się — nie po raz pierwszy — nie pójść do szkoły. Wieczorem, gdy córki nie było w domu, ojciec zgłosił Policji zaginięcie. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania w szpitalach, restauracjach, kawiarniach, parkach, a nawet w melinach. Dziewczyny nigdzie nie było. Po pewnym czasie ustalono, że została odwieziona przez kolegę samochodem do Siedlec. Ten informację potwierdził i dodał, że zrobił to na jej usilne prośby. Starał się przemówić jej do rozsądku, ale Ania do domu nie chciała wracać za żadne skarby. Gdy się żegnali, przekazała mu adres, pod którym będzie mieszkać, ale to tak na wszelki wypadek. Widział jeszcze, jak podeszła do kierowcy czerwonego poloneza i tak się rozstali.

Pod wskazany adres natychmiast udała się grupa poszukiwawcza. Niestety, właścicielka domu pokazanej na zdjęciu dziewczyny nigdy nie widziała. Po kilku godzinach odnaleziono Anię w parku miejskim w otoczeniu wesołego towarzystwa. „Jeżeli nie stałoby się tak, jak się stało, miałam mieszkać przez 2 tygodnie w pokoju wynajętym u starszego pana, a potem (tak planowała) miałam zamiar wyjechać do Krakowa i przedostać się za granicę" — wyjaśniła dziewczyna policjantom.

● Jurek ma 18 lat i uczy się w III kl. liceum. Pod koniec kwietnia jak zwykle wyjechał z domu do internatu. Gdy w środę przypadkowo pojawiła się w szkole mama, wychowawczyni zapytała, dlaczego syna nie było już trzy dni? Wyjaśniał to zostawiony koledze w pokoju list.

„Na wstępie mojego listu chcę Was bardzo pozdrowić i podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Gdy będziecie czytać ten list mnie już na tym świecie nie będzie. Skończą się Wasze i moje problemy. Samobójstwo postanowiłem popełnić dużo wcześniej, ale nie mogłem się zdobyć na odwagę. Uważam, że to jest jedyne rozwiązanie, aby uciec od ponurej rzeczywistości. Moje życie od początku nie miało sensu, nie układało mi się w domu i w szkole. Nie miałem nawet dziewczyny — która by chciała takiego idiotę (...). Moje samobójstwo w dokładny sposób odzwierciedlają słowa znanego poety: ...„Miłość jest męką, brak miłości śmiercią..."

Na szczęście chłopiec nie był do końca przekonany, że śmierć rozwiąże jego problemy. Wyjechał na południe Polski do rodziny i pożyczył trochę pieniędzy. Dzięki szybkości działania ojciec spotkał zdesperowanego syna, gdy ten wysiadał z pociągu w Warszawie. Co by się jednak stało, gdyby matka nie pojechała do szkoły?

Dzieci najczęściej uciekają z domów ze względu na brak zrozumienia w rodzinie, nieskuteczne metody wychowawcze, kumulujące się pod koniec roku szkolnego kłopoty, strach przed karą, albo dlatego, że mają taki kaprys. Ucieczka jest jednak finałem procesu, jaki w dziecku rozwija się nieco wcześniej i trudno ująć go w sztywnych ramach. Pierwsze objawy to zaniedbywanie nauki szkolnej, sprawianie trudności wychowawczych, systematyczne wagarowanie. Dzieci bardzo dużo czasu spędzają w szkole i niezbędny jest ciągły kontakt rodzica ze szkołą, współpraca z wychowawcą, nie mówiąc o olbrzymim obowiązku ciążącym na wszystkich odpowiedzialnych za proces wychowania. Jest niedopuszczalne, aby matka dowiadywała się przypadkiem, że syna nie ma w szkole, dopiero po trzech dniach! Trudno zrozumieć takich rodziców, którzy w konkretnej sytuacji nie wiedzą, jakie problemy ma dziecko, czy ma kolegów i jakich, gdzie spędza czas wolny?

Ucieczka to także nagły początek samodzielnego życia, w którym trzeba sobie jakoś radzić. Aby przeżyć kolejne dni poza domem dziecko bardzo często wchodzi w środowisko przestępcze i uzależnia się od niego.

Warto już dzisiaj, w gorącym na ucieczki okresie, dokładniej przyjrzeć się swoim dzieciom, samemu zatrzymać czas, zanim zrobi to ktoś inny. Ucieczka to zaledwie jedna z dróg, jaką może pójść Twoje dziecko...

ZBIGNIEW MATWIEJ

997

KRONIKA

Pod redakcją
HANNY ŚWIESZCZAKOWSKIEJ
I ZBIGNIEWA RAZMUKA

ZAMORDOWALI I OGRABILI

Zbrodnia, której sprawców poszukujemy, wydarzyła się w grudniu 1992 r., w niewielkiej miejscowości Gierałtowice w woj. katowickim. Tu, przy ul. Wyzwolenia 4, w przedwojennym piętrowym domu mieszkał samotnie 67-letni emeryt Leopold Smolnik.

Uważany był przez sąsiadów za dziwaka. Z żoną rozwiódł się 38 lat temu i zerwał z nią wszelkie kontakty, chociaż mieli dziecko. Potem mieszkał z ojcem, który zmarł przed 10 laty. Od przejścia na emeryturę w 1988 r. (był górnikiem w KWK „Szczygłowice") prowadził życie samotnika. Nie miał znajomych, nikt go nie odwiedzał.

Był do przesady oszczędny. W pobliskim sklepie spożywczym kupował 2 razy w tygodniu tylko chleb. Tym bardziej sąsiad Smolnika był zdziwiony i zaniepokojony, gdy zaobserwował, że od trzech dni u emeryta pali się bez przerwy światło. Do tego na podwórku nie widać było gospodarza, choć zwykle kręcił się tam kilka razy dziennie.

Sąsiad podzielił się tymi spostrzeżeniami z krewnym Smolnika i obaj postanowili wejść do domu. Drzwi wejściowe były zamknięte od wewnątrz na zasuwę, natomiast okno od łazienki na parterze — tylko przymknięte. Przez to właśnie okienko sąsiad wszedł do środka.

Od razu dostrzegł ślady plądrowania mieszkania, ponieważ wszystkie rzeczy były powyrzucane z szaf. Nie widział natomiast gospodarza. Jego zwłoki znalazł dopiero w sieni przy drzwiach wejściowych. Od razu widać było, że dokonano bestialskiego mordu. Wskazywała na to kałuża krwi, ślady walki i rany od noża. Sekcja zwłok wykazała, że ofiarę bito także metalową kulą.

Ciało Leopolda Smolnika znaleziono 21 grudnia 1992 r. ok. południa, jednak ostatni raz żywego widziano go cztery dni wcześniej — 17 grudnia. Tego dnia jak zwykle kupował w sklepie chleb — było to ok. 14.00. Morderstwa dokonano zapewne tego samego dnia wieczorem.

Nie wiadomo, co zabójcy ukradli ofierze. Natomiast prawdopodobnie do nich należała jasnobrązowa skórzana torba z namalowanymi literami „BB" lub „JB" oraz koszulka bawełniana z napisem HAPPY. Przedmioty te znaleziono w domu zamordowanego. Zdjęcia torby i koszulki, a także Leopolda Smolnika zamieszczamy obok.

Policja ustaliła, że od 15 do 17 grudnia 1992 r. w Gierałtowicach przebywała grupa rumuńskich Cyganów (mężczyźni, kobiety, dzieci), którzy chodzili po domach prosząc o pieniądze i rzeczy. Na podstawie zeznań świadka sporządzono portret pamięciowy jednego z Rumunów. Uzyskano też informację, że u chłopca rumuńskiego widziano torbę podobną do znalezionej w mieszkaniu ofiary.

W tym samym okresie na terenie Gierałtowic inni Cyganie handlowali swetrami i firankami. Poruszali się białym mercedesem.

Ktokolwiek mógłby dodać nowe elementy do tych ustaleń i przyczynić się do ujęcia sprawców napadu i morderstwa, proszony jest o skontaktowanie się z KWP w Katowicach tel. 512 000.

Portret pamięciowy poszukiwanego mężczyzny narodowości cygańskiej lub rumuńskiej, widzianego w dniu zabójstwa w Gierałtowicach.
Rysopis: wiek ok. 30—35 lat, wzrost ok. 170 cm, szczupła budowa ciała, twarz owalna, cera ciemna, włosy czarne, brwi łukowate ciemne, oczy niebieskie, nos średni. Ubrany był w granatową czapkę z niebieskim i czerwonym paskiem, ciemną kurtkę i ciemne spodnie.

Przedmioty znalezione w miejscu zbrodni nie należące do zamordowanego:

Koszulka polo z bliżej nie określonymi zabrudzeniami i napisem HAPPY SAILING.

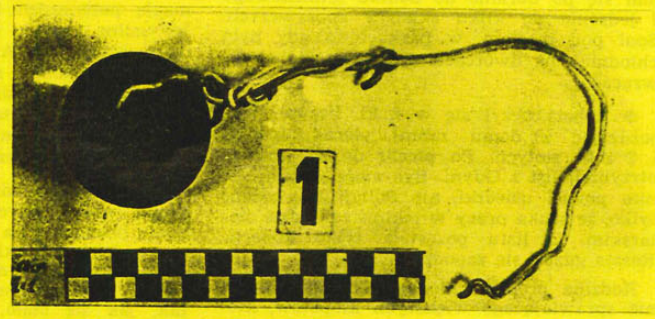

Metalowa kula z przywiązanym do niej drutem.

Torba skórzana typu „raportówka" z monogramem.

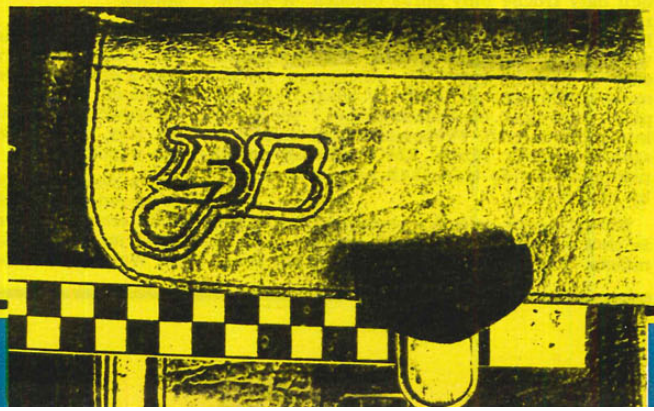

SAMOBÓJSTWO CZY ZBRODNIA?

Sprawa, o której chcemy teraz napisać, jest ciekawa ze względu na okoliczności poprzedzające tragiczne wydarzenie. Policja nie wie do końca, czy ma w tym wypadku do czynienia z samobójstwem, czy też z zaplanowanym morderstwem. Opiszmy więc wszystko od początku.

Jacek Skubik, mieszkaniec Zakopanego, zdjęcie obok, był znanym w okolicy alkoholikiem. Nie gardził niczym, co mogłoby wprawić go w stan zamroczenia, przez co nazywano go „Jacek Denaturka". Pieniądze zdobywał we wszystkie znane pijakom sposoby. W najlepszym razie chwytał się prac dorywczych, częściej sprzedawał lub zastawiał przedmioty wyniesione z domu, pożyczał albo wypraszał drobne sumy. Jego mieszkanie stało się faktycznie meliną pijacką.

Mieszkał w jednym domu z matką przy ul. Balcera 6 w Zakopanem, jednak miał osobne wejście. Przez jakiś czas mieszkał ze swoją konkubiną. Wyprowadziła się od niego, ponieważ pod wpływem alkoholu zachowywał się bardzo agresywnie i znęcał się nad nią.

Miewał też — jak zeznała potem ta kobieta — oraz inni świadkowie — różne zwidy i majaki, wręcz manię prześladowczą polegającą na przekonaniu, że ktoś go śledzi i chce zabić. Często wstawał w nocy i obchodził dom z siekierą w ręku. W dzień zamykał drzwi mieszkania na haczyk (czego wcześniej nie robił), a telewizor włączał bardzo cicho. W mieście, będąc nawet w towarzystwie, chodził bocznymi ulicami, jakby się czegoś obawiał. Wielu osobom opowiadał o swoich lękach, jednak nigdy nie mówił, kto go śledzi i dlaczego chce go zabić.

Krytycznego dnia 22 października 1992 r. Jacek Skubik był w domu i jak zwykle pił, tym razem wino. Towarzyszył mu znajomy Tadeusz G.-B. Ok. 16.00 wino się skończyło, więc gospodarz wziął pod pachę stół-ławę z nadzieją, że uzyska za nią jakieś pieniądze. Po pół godzinie dotarł do Piotra J., od którego zażądał 100 tys. pożyczki pod zastaw ławy. Kiedy okazało się, że P.J. nie jest zainteresowany taką transakcją, Jacek Skubik zaczął go całować po rękach i prosić o pożyczenie do jutra 50 tys. zł. Dostał wreszcie pieniądze, zostawił ławę i wyszedł.

Od tej pory do ok. godz. 22.00 nie wiadomo, co robił i gdzie był. W każdym razie nie wrócił do domu, gdzie cały czas czekał na niego znajomy od kieliszka. Między godz. 22.00 a 23.00 tego dnia Jacek Skubik, pijany, ale nie zamroczony, pojawił się w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem, gdzie przez chwilę rozmawiał ze stróżem. Był przestraszony, zdyszany i pytał, czy nikt go nie szukał.

Potem poszedł w kierunku centrum Zakopanego. Na ul. Zamojskiego spotkali go sąsiedzi, Danuta i Tadeusz J., którzy wracali do domu po zamknięciu sklepu. Nie poznał ich, był pijany i krzyczał „ja nikogo nie zabiłem, nikomu nic nie zrobiłem". Małżeństwo J. nie zauważyło, by ktokolwiek za Skubikiem szedł lub jechał, nie spotkali też nikogo do samego domu.

Zaledwie kilka minut potem Skubik wszedł do hallu hotelu „Paradis". Był cały mokry, jakby wpadł do wody i powiedział portierowi, że ktoś go goni, żeby zabić. Portier wyszedł przed hotel, ale nikogo nie zauważył.

Następnie Skubik zatrzymał radiowóz ruchu drogowego i został dowieziony do Komendy Rejonowej Policji w Zakopanem przy ul. Kościuszki. Tam prosił, by zamknąć go w areszcie lub dać obstawę, ponieważ jego dom jest obserwowany i on boi się tam wrócić. Twierdził też, że ścigają go osoby, które chcą go zabić, lecz nie powiedział, co to są za ludzie.

Skubik, mimo perswazji, nie chciał wrócić do domu, więc jeden z funkcjonariuszy, będący już po służbie, poprosił go do pokoju na rozmowę. Trwała ona ok. dwóch godzin, jednak policjantowi nie udało się dowiedzieć, kto śledzi i kto chce zabić Skubika. Wreszcie, a było już po godz. 1.00 w nocy, wezwano radiowóz patrolowy, który miał odwieźć Skubika do domu. Ten zgodził się, ale gdy podjechano w pobliże domu, Skubik nie chciał wysiąść — bo jego zdaniem dom był obserwowany — i poprosił o podwiezienie do Kuźnic. Stamtąd chciał przejść do domu przez las znajomą sobie drogą (ok. 3 km).

Policjanci niechętnie spełnili tę prośbę i wysadzili pasażera w Kuźnicach za hotelem. Od tamtej chwili nikt już nie widział Skubika żywego. Funkcjonariusze twierdzą, że za radiowozem nie jechał nikt, kto mógłby ich śledzić.

W tym czasie Tadeusz G.-B. czekał na Skubika w jego domu. Między godz. 22.00 a 23.00 przyszedł tam Franciszek G.-K. z butelką wódki. Wspólnie dopili tylko wino, a potem gość udał się do pracy, tzn. do szpitala, w którym był pomocnikiem palacza. Tadeusz G.-B. opuścił mieszkanie Skubika ok. godz. 8.00—9.00 rano 23 października.

Niedługo potem, operator uzdatniania wody w spółce „Sewik" w Zakopanem Bronisław N.-N. udał się na kontrolę ujęcia wody na potoku Bystry w Kuźnicach. Przechodząc przez las ok. godz. 9.30, zauważył wiszące zwłoki mężczyzny. Były oparte pośladkami o podłoże.

W trakcie początkowych czynności wykrywczych ustalono, że są to zwłoki Jacka Skubika, ur. w 1958 r. Zmarł on na skutek powieszenia (wisiał na własnym pasku od spodni), jednak na jego ciele ujawniono liczne obrażenia w obrębie głowy oraz otwarte złamanie kości goleniowej prawej nogi. Lekarze sądowi orzekli, że obrażenia głowy musiały chwilowo pozbawić denata przytomności. Na tej podstawie wyciągnięto wniosek, czy też tylko przypuszczenie, że nie mógł powiesić się sam.

Co więcej, w miejscu znalezienia zwłok leżał kamień ze śladami krwi i włosów Skubika. Ujawniono też ślady obuwia, jednak ze względu na charakter podłoża trudno je było rozróżnić (część na pewno należała do Skubika). Nie można też powiedzieć, czy miały związek ze zdarzeniem, czy też były wcześniejsze. Żadnych innych śladów świadczących o ewentualnym zajściu między napastnikiem a ofiarą nie znaleziono.

Ktokolwiek mógłby dostarczyć nowych informacji na temat okoliczności jego śmierci, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Główną Policji tel. 601 61 61 lub najbliższą jednostką Policji tel. 997.

ŚMIERĆ NAD STAWAMI

I jeszcze jedna dziwna śmierć, do której przyczynił się alkohol. Zdarzyła się ona ponad półtora roku temu.

6 grudnia 1991 r. Komisariat Policji w Czechowicach-Dziedzicach został powiadomiony telefonicznie o znalezieniu zwłok mężczyzny na łące obok stawów hodowlanych PGR „Nowy Dwór" w miejscowości Bestwina. Przy zwłokach znaleziono dowód osobisty na nazwisko Robert Worek (kserokopia zdjęcia obok) zamieszkały w Bielsku-Białej.

Przybyły lekarz stwierdził zgon naturalny — na skutek zamarznięcia. U denata stwierdzono 1,6 promila alkoholu we krwi.

Pojawiły się jednak wątpliwości, w jaki sposób osoba zamieszkała w Bielsku-Białej i pracująca w Goczałkowicach-Zdroju znalazła się ok. 12 km od tej miejscowości i to nad stawami?

W trakcie śledztwa ustalono, że Robert Worek pracował zaledwie od trzech dni w sanatorium górniczym „Gwarek" w Goczałkowicach-Zdroju. 4 grudnia 1991 r. umówił się w miejscowym barze na wódkę ze swoim szefem — lekarzem Władysławem Z. oraz pielęgniarką Małgorzatą B. We trójkę zjawili się tam ok. 16.00.

Wypili prawie litr alkoholu i ok. godz. 22.00 wyszli z baru. Lekarz i pielęgniarka pożegnali się z Robertem Workiem i widzieli, jak poszedł w kierunku dworca PKP.

Dotąd nie wiadomo, jak znalazł się kilkanaście km dalej nad stawami w Bestwinie. Nie miał żadnego powodu, żeby tam iść. Czy ktoś mu „pomógł"?

Policja prosi o kontakt osoby, które mogłyby przyczynić się do znalezienia odpowiedzi na to pytanie. Tel. KWP w Katowicach 512 000.

NAJLEPSZE KRZYŻÓWKI ZNAJDZIESZ W MIESIĘCZNIKU SEKCJI POLSKIEJ AIEP

Wkrótce w sprzedaży 12 numer „Gazety Policyjnej"

GAZETA policyjna

Polecamy w niej: ● „Czy będziemy poczekalnią Europy?" — umowa o readmisji ● „Sądowa przejściówka" — reportaż z sądów rejonowych woj. stoł. warszawskiego ● „Stróże paragrafów" — o problemach służb dochodzeniowych ● „Jakie policje w policji?" — Policja 2000 ● „Psychologia w pracy policji — tak" — nowa forma szkolenia zawodowego w WSPol. w Szczytnie ● „Jak zarobić 10 mld?" — konkurs pod kryptonimem „Sukces" ●

Finlandia

Biały saab wjeżdża na niewielki, nie strzeżony parking w centrum Helsinek. Jest sporo pustych miejsc, ale kierowca wolno objeżdża cały teren, uważnie go lustrując. Wreszcie zatrzymuje się. Do samochodu podchodzą dwaj młodzi mężczyźni, czekający dotychczas w pobliżu. Po krótkiej rozmowie z kierowcą saaba wyjmują z wozu dwie duże, wypchane torby i przenoszą je do stojącego w sąsiednim rzędzie peugeota; chwilę później odjeżdżają. Ich rozmówca czeka jeszcze przez moment, po czym także rusza, w przeciwnym jednak kierunku. Kilkadziesiąt metrów za parkingiem zatrzymuje się, przepuszczając jadące za nim samochody. Żaden z nich nie przystaje – tzn., że wszystko w porządku, saab nie jest śledzony.

OBRAZKOWICZE Z POLSKI

Kierowcą białego saaba jest Mariusz, student z Poznania. To już jego drugi sezon w Finlandii, choć właściwie należałoby powiedzieć drugi rok, gdyż poza krótką przerwą w zimie nie przyjeżdżał do kraju od ponad dwudziestu miesięcy. Niedługo zacznie się rok trzeci, ale Mariusz zarzeka się, że tego już nie wytrzyma. Ma dość i wraca. Cóż z tego, że ma tu mieszkanie, samochód i zarobki, przekraczające kilkanaście razy to, co mógłby otrzymać w Polsce, skoro lada chwila może to wszystko zamienić na pryczę w więziennej celi.

Bogdan, główny boss całego interesu, przylatuje z Warszawy raz na miesiąc — tylko po to, by odebrać forsę — praktycznie niczym nie ryzykuje. Tymczasem Mariusz musi odwalać czarną robotę: odbierać towar od dostawców, przechowywać go, a następnie dostarczać osobom rozprowadzającym. Niemal codziennie wozi go w takich ilościach, że gdyby został zatrzymany przez policjanta, nie miałby żadnych szans na udawanie płotki i wyłganie się grzywną. Od razu byłoby jasne, że jest jednym z szefów — pudło murowane, i to nie miesiąc lub dwa, ale dużo, dużo więcej.

Towar

to nie żadne narkotyki, dzieła sztuki bądź diamenty, lecz... obrazki — bristolowe kartki formatu A 1 zadrukowane wizerunkami kotków z kłębkami wełny, cwałujących koni, żaglowców w sztormie itp. motywami.

— Najstarszy obrazek, jaki widziałem, sygnowany był datą 1959 r., mają więc one już pewną tradycję w Finlandii — mówi Zbyszek, kolega Mariusza, jeden z obrazkowiczów. — Była to jednak prawdziwa grafika, nie mająca nic wspólnego z tym, co sprzedaje się dzisiaj. O ile wiem, pierwszymi, którzy zaczęli masowo wytwarzać obrazki byli Murzyni, studiujący w Skandynawii i to od nich jakby przejęli ten interes Polacy.

Obecnie obrazki drukowane są offsetem w tysiącach egzemplarzy z każdego motywu, zawsze jednak sprzedający oferują je jako własnoręcznie wykonane, unikatowe grafiki lub litografie.

— Aż dziw bierze, że Finowie kupują te kiczowate podróbki, nie uświadamiając sobie, iż robimy ich w balona — dziwi się Robert, pracujący w jednej grupie ze Zbyszkiem. — Jestem pewien, że w Polsce ten numer by nie przeszedł, nie wcisnąłbym nikomu ani jednego obrazka, tutaj sprzedaję ich dobrze ponad setkę miesięcznie.

„Artystów"

kuszą publikowane w gazetach lub naklejane na słupach i przystankach autobusowych ogłoszenia o superzarobkach przy niezbyt uciążliwej pracy. Jedno, dwa zebrania organizacyjne, na których zwykle ktoś z podbossów, czasem sam Bogdan, nakreśla ogólne reguły gry i obiecuje wielkie wygrane, a potem już tylko dwa dni promem i Finlandia.

Praca jest oczywiście nielegalna — władze fińskie nie mają co prawda nic przeciwko wędrownym artystom (nawet cudzoziemcom), sprzedającym swoje prace, pod warunkiem jednak, że opłacą oni należne z tego tytułu podatki, a robione przez nich rzeczy nie będą produkcją na skalę przemysłową, lecz autentyczną twórczością. Takie zastrzeżenie z góry eliminuje polskich obrazkowiczów, wszyscy więc — niezależnie od wieku i rozmiarów łysiny — podają się za zwiedzających kraj studentów, którzy nie pracują, a tylko dorabiają sobie niewielkie sumki na finansowanie dalszej podróży.

Od maja 1991 r. fińska policja przestała przymykać oczy na obrazkowiczów. Finów zaczęły nudzić ich niemal codzienne wizyty i wykute na pamięć, niegramatyczne formułki — zawsze zresztą takie same: „jestem studentem, podróżuję po kraju, chciałbym..."; coraz częściej też zauważali, że wiszące u sąsiadów obrazki są jota w jotę takie same, jak te, które sami kupili. W gazetach zaczęło pojawiać się coraz więcej bardzo nieprzychylnych artykułów, czasem z przykładami, jak to po wizycie Polaków coś zginęło itp. Na efekty nie trzeba było długo czekać — policja uznała ich niemal za wroga nr 1, a i reszta społeczeństwa stawała się im coraz bardziej niechętna.

— Podczas mojego pierwszego pobytu w Finlandii, jeszcze przed zniesieniem wiz, niemal zawsze zapraszano mnie do domu, częstowano jedzeniem i napojami, niekiedy nawet proponowano wspólną saunę, co tutaj jest już oznaką dużego zaufania — opowiada Zbyszek. — Później jeździłem jeszcze dwukrotnie i z roku na rok było coraz gorzej. Ostatnie wakacje, w 1992 r. to był już istny koszmar — wszędzie pozamykane drzwi i policja ścigająca nas, jako nielegalnie pracujących i oszustów.

Według niektórych, zwykle jednak tych, którzy przyjeżdżają do Finlandii po raz pierwszy, receptą na te kłopoty ma być

jazda na północ.

Wierzą oni, że dociera tam mniej obrazkowiczów, a w związku z tym i policja jest spokojniejsza, i chętnych do kupna „grafik" więcej.

— To wszystko bzdury, wykreowane chyba tylko po to, by ci, którzy dali się w to wrobić mieli jeszcze jakąś nadzieję, a nie wiali stąd po paru pierwszych dniach — komentuje Piotr, pracujący w jednej grupie z Robertem i Zbyszkiem. Przejechaliśmy cały kraj, sprzedawaliśmy obrazki i pod Helsinkami, i za kołem polarnym. Wszędzie jednakowo przeorane.

To właśnie na północy miały miejsce największe wpadki polskich obrazkowiczów, podczas których policja zatrzymywała całe grupy — zadenuncjowane np. przez gospodarzy, wynajmujących im domki — po kilka, kilkanaście osób i kilkaset obrazków za jednym razem. Dla wielu spośród złapanych osób oznaczało to utratę wszystkich pieniędzy zainwestowanych w wyjazd do Finlandii — i to bez możliwości odrobienia strat; niektórzy poznawali smak więziennego wiktu i deportacji.

Po co znaczniejszych sukcesach policja urządzała wystawki obrazków skonfiskowanych Polakom — tak, by ludzie mogli zobaczyć, czego mają się wystrzegać, gazety publikowały kolejne artykuły, niechęć wzrastała... Sami policjanci, nie mający na północy zbyt wiele do roboty, zaczęli traktować wyłapywanie polskich „artystów" jako najlepszą metodę potwierdzania własnych umiejętności i kwalifikacji zawodowych — sprawę wręcz prestiżową.

Szef całego interesu Bogdan wysyła już zwiadowców do innych krajów, by zorientować się, jakie są szanse na przeniesienie biznesu. Nie chce go tracić, przywykł już do pewnego luksusu. Bada więc Wielką Brytanię, Danię, myśli o Islandii. Musi się spieszyć, bo konkurencja też nie śpi. Póki co jednak wszyscy rozklejają nowe ogłoszenia o superzarobkach w Skandynawii; może ktoś jeszcze się nabierze.

PRZEMYSŁAW KACAK

Wielka Brytania

UWAGA NARKOTYKI!

Narkomania jest współczesnym problemem cywilizacyjnym, którego nie można nie zauważać.

W 1980 r. policja w Wielkiej Brytanii szacowała, że w obiegu znajdowało się ok. 35 kg heroiny. W roku 1990 ilość heroiny na rynku wyniosła 600 kg, jest to wzrost bardzo niepokojący zważywszy, że wraz ze wzrostem ilości narkotyków zwiększa się liczba ludzi, którzy mają z nimi styczność.

Sygnały policji o tym narastającym problemie były przez społeczeństwo nie zauważane. Policja jednak, ponieważ ma ustawowy obowiązek pomagać obywatelom, dbać o ich spokój i bezpieczeństwo, podjęła czynności w kierunku uświadomienia i obrony społeczeństwa przed tym zagrożeniem. Najpierw policja zabiegała o pozyskanie jak największej liczby zwolenników walki z narkomanią wśród ludności, organizacji lokalnych, grup zawodowych i agencji opiekuńczych. Działania policji miały wyłącznie charakter lokalny oparty na bardzo dobrej znajomości środowiska, można było łatwo ustalić potencjalnych amatorów narkotyków oraz pozyskać informatorów. Policja zaczęła prowadzić regularne prezentacje i pogadanki nt. szkodliwości działania narkotyków. W 1985 r. zorganizowano w policji specjalny dział, którego funkcjonariusze prowadzili prezentacje i szkolenia w szkołach, w środowiskach młodych ludzi, wśród rodziców, w organizacjach zawodowych i społecznych na temat szkodliwości narkotyków. Prowadzenie przez policję tej swoistej szkoły przyniosło zalew wiadomości o skali zjawiska, przez cały czas napływały informacje o narkotykach, punktach ich koncentracji, miejscach sprzedaży oraz o osobach je nadużywających.

W tym czasie rząd wprowadzał w życie program walki z narkomanią. Strategia rządu oparta była na pięciu zasadniczych punktach:

— rozwój międzynarodowej współpracy w dziedzinie zwalczania przemytu narkotyków

— pomoc policji w wykonywaniu jej ustawowych obowiązków

Kuwejt

POLICJA OSKARŻONA O TORTUROWANIE WIĘŹNIA

W Kuwejcie wdrożono dochodzenie w sprawie domniemanego torturowania na posterunku policji obywatela Sri Lanki, Colompurage Asoka Pathmakumara.

1 czerwca 1992 r. Colompurage został przewieziony do szpitala, gdzie stwierdzono zgon, a sekcja zwłok ujawniła ślady bardzo poważnych obrażeń. Odpowiadając na prośbę Amnesty International o wyjaśnienie tej sprawy minister sprawiedliwości Kuwejtu utrzymywał, że Colompurage zmarł następnego dnia po aresztowaniu 30 maja w wyniku upadku z wysokości 4,25 m, co miało miejsce podczas próby ucieczki. Przyjaciele i krewni Colompurage twierdzą, że to on sam był ofiarą rabunku, że zatrzymany został podczas, gdy składał o tym meldunek na policji i że podczas przetrzymywania w areszcie poddany został torturom ze skutkiem śmiertelnym.

W grudniu władze Kuwejtu przekazały AI informację o tym, że Colompurage został „lekko" pobity podczas przesłuchania i że doznał „niewielkich" obrażeń. Równocześnie władze poinformowały o przekazaniu do sądu, przez prokuratora publicznego, sprawy siedmiu funkcjonariuszy policji. Akt oskarżenia zarzuca im stosowanie tortur celem wymuszenia zeznań.

AI zwróciła się do władz kuwejckich o przekazanie szczegółów dotyczących postępowania sądowego w tych sprawach, a także o wdrożenie niezależnych dochodzeń związanych z okolicznościami śmierci Colompurage. **(AI)**

Niemcy

MAFIJNE GNIAZDA

Szef Federalnego Urzędu Kryminalnego (BKA), Hans Ludwig Zachert przypuszcza, że w niedługim czasie mafia przeniknie w Niemczech do władz decyzyjnych, policji, wymiaru sprawiedliwości i kół politycznych. „Już w tej chwili korupcja zorganizowanej przestępczości kryminalnej odgrywa coraz większą rolę, stając się oczywistością" — podkreśla Hans Zachert.

Peter Walter, dyrektor policji Frankfurtu nad Menem, widzi, jak gangi umacniają swoje imperium ekonomiczne w całkowitej bezkarności. Za pośrednictwem ludzi prawa i spółek niemieckich nabywają zgodnie z przepisami nieruchomości ziemskie, zakłady i akcje. W ten sposób wybielana jest część brudnych pieniędzy. „Co robić? — niepokoi się ten policjant. — Są tak doskonale zorganizowani, iż potrzebują mniej czasu aby udać się samolotem z Frankfurtu do Rzymu lub Moskwy, aniżeli ja, aby wypełnić rozkaz wyjazdu. Dzięki tajemnicy bankowej policja nie ma dostępu do ich kont. Policja musi udowodnić, że transakcje są nielegalne, podczas gdy to nabywcy powinni udokumentować, że ich pieniądze są czyste. Brakuje policyjnych specjalistów od finansów. Zatrzymujemy przeważnie płotki. Mamy do czynienia z problemem nierozwiązalnym" — konkluduje szef Zachert.

We Frankfurcie dominują Jugosłowianie. Potrzebowali dziesięciu lat krwawej walki, aby narzucić swoją dominację nad włosko-sycylijską mafią. Gangi jugosłowiańskie kontrolują prostytucję w sławnej dzielnicy dworca „Bahnhofsviertel". „Tylko w trzynastu domach schadzek mają roczne dochody rzędu 200 mln marek, nie opodatkowane. Stanowią tym samym władzę. Menedżerowie półświatka stali się właścicielami dzielnic miasta i kompetentnymi partnerami ludzi z kół politycznych" — przypuszcza Peter Walter. Jugosłowianie kontrolują także rynek narkotykowy w tej metropolii.

W Kolonii sycylijska mafia ma wolne pole działania. Wszyscy właściciele pizzerii, sklepów, knajp i nocnych lokali muszą płacić haracz. Miesięczna wysokość od 500 do 5000 marek.

Główny inspektor policji Düsseldorfu Wilhelm Schwerdtfeger potwierdza, że podobnie jak w Palermo takie same bandy kontrolują rynek handlu narkotykami, prostytucji, nielegalny handel bronią oraz ściąganie haraczu od sklepikarzy. Mafia sycylijska konkuruje w kraju nadreńskim z kalabryjską N'Dranghetą, która również trzyma w ręku handel narkotykami w Dortmundzie. Bossowie neapolitańskiej Camorry kontrolują kasyna hazardu w okolicach Wuppertal w Zagłębiu Ruhry. W razie niepodporządkowania się rytuał jest zawsze ten sam: nocny telefon, przesłanie koperty z nabojami, następnie podpalenie samochodów i lokali.

Wpływy mafii rozciągają się coraz dalej. Niedawno do restauracji „Joachimstal" w Lipsku przybyło kilku osobników, by zainkasować haracz. Spotkawszy się z odmową, rzucili kilka „koktajli Mołotowa" i lokal został spalony. We Frankfurcie pewien właściciel, włoskiej narodowości, który otworzył nowy salon hazardu, wypędził dżentelmenów przybyłych po pieniądze. Niebawem wysłannicy powrócili z kilkoma Włochami. Nowa odmowa. Nocą głuche telefony do właściciela lokalu. Strach narastał.

Po kilku dniach mafia dała znać o sobie drogą pocztową: kawałek ludzkiego języka zapakowany w przesyłce poleconej. Na załączonej kartce: „Milczenie albo śmierć" — a przede wszystkim pieniądze.

Chińczycy nie załatwiają tych spraw za pomocą poczty. Za odmowę uiszczenia haraczu, właścicielowi chińskiej restauracji we Frankfurcie, natychmiast na miejscu, przestrzelono obie dłonie. Było to pierwsze ostrzeżenie chińskiej mafii. Tragiczniejszy los spotkał innego patrona chińskiej restauracji w Erlangen. Porwany przez mafiosów azjatyckich, został następnie wyrzucony z samochodu pod koła pędzących autostradą pojazdów. Ciało jego zostało zmasakrowane.

Emisariusze azjatyckiej mafii przychodzący po haracz przedstawiają się, podnosząc dyskretnie trzy palce. Są mniej gadatliwi niż Włosi, porozumiewają się znakami i umówionym kodem. Ustanowili swoje imperium na handel bronią i narkotykami w południowych Niemczech. Ich centrala znajduje się w Monachium. Natomiast północna część Niemiec już od dłuższego czasu jest widownią bezpardonowej walki między Kurdami, Turkami i Jugosłowianami. Nie ma miesiąca, by liderzy tych narodowościowych gangów nie padali trupem pod seriami pistoletów maszynowych w dzielnicy Sankt Pauli w Hamburgu. Obecnie Turcy są górą w Bremie, a Kurdowie w Hamburgu.

Od zjednoczenia Niemiec gangi z krajów wschodnioeuropejskich zdobyły wschodnią część kraju, szczególnie w handlu narkotykami. Mafia rosyjska dominuje wyraźnie w Berlinie, pozostawiając Czechom panowanie w Lipsku, a Polakom w Dreźnie. Polscy przestępcy specjalizują się w produkcji, przemycie i handlu syntetycznymi narkotykami. Niedawno aresztowano w Zagłębiu Ruhry kilku Polaków, przewożących 16 kg amfetaminy.

na podst. „Le Figaro"
oprac. MARIAN OWCZAREK

od redakcji:

9 grudnia 1992 roku niemiecka policja skonfiskowała we Frankfurcie nad Menem 11 mln kapsułek, zawierających ponad trzy tony amfetaminy, wartości około 275 mln marek. Okoliczności oraz osób zamieszanych w tę rekordową aferę amfetaminową władze niemieckie na razie nie ujawniły.

Jedna z ofiar porachunków mafijnych we Frankfurcie.

— utrzymywanie efektywnego procesu kontroli i rejestracji krajowych narkomanów

— rozwój działań zapobiegawczych i edukacyjnych

— rozwój bazy lecznictwa zamkniętego i rehabilitacji.

Dokładne wykonawstwo przedstawionych zamierzeń pozwoliło opanować sytuację, wpłynąć na poprawę zdrowia społeczeństwa, odciągnąć młodych ludzi od ryzyka.

Duży wkład w związku z ujawnieniem choroby AIDS, w zwalczaniu narkomanii, przejawiają środki masowego przekazu. Programy telewizyjne, radio, gazety, propagują zasadę sterylnego sprzętu do wstrzykiwania, redukując ryzyko infekcji HIV.

Rząd przeznacza specjalne fundusze na prowadzenie edukacji wśród grup największego ryzyka oraz fundusze na prowadzenie leczenia odwykowego. Pieniądze z tego funduszu przekazywane są władzom lokalnym, które przeznaczają je na promocję i organizację szkolenia nauczycieli oraz specjalnych pracowników, którzy prowadzą edukację zdrowotną, przeciw narkomanii, antyalkoholową i przeciwnikotynową. Z funduszu rządowego realizowany jest też ogólnokrajowy naukowy program zwalczania narkomanii.

Wyselekcjonowani przez lokalną policję narkomani objęci są opieką, opiekują się nimi i pomagają w kuracji odwykowej rodzice, nauczyciele, lokatorzy, partie, organizacje charytatywne oraz grupy religijne. Leczenie takie ma charakter otwarty, leczenie zamknięte może być realizowane tylko i wyłącznie za zgodą zainteresowanego lub w wypadku skazania wyrokiem sądu.

Staraniem policji wydany został podręcznik — praktyczny przewodnik informujący o narkotykach, sposobach ich identyfikacji, metodach i sposobach ich przemycania i dystrybucji, przedstawia sposoby użycia różnych narkotyków, charakteryzuje sprzęt do ich zażywania, omawia symptomy po ich zażyciu. Podręcznik ilustrowany jest kolorowymi zdjęciami, przystępnie napisany stanowi bardzo dużą pomoc dla policjantów nie znających tematu, a mających styczność z problemem.

Wzorem policji takie same podręczniki zostały opracowane dla narkomanów, rodziców narkomanów i nauczycieli.

oprac. A. GÓRALSKI

ZNANI — NIEZNANI?

Jest drobna i niewysoka. Nosi duże, lekko przyciemnione okulary. Spokojna, stonowana nie tylko w ubiorze, lecz także w sposobie bycia. Wygląda jak studentka artystycznej uczelni. To przez ten daleki od żurnalowego, „czarodziejski", jak określił na spotkaniu w jednym z kobiecych pism słynny Jerzy Antkowiak, sposób ubierania.

Jest pogodna i trochę nieśmiała. Na większość spotkań, tych służbowych, przychodzi ze swoim szefem. Znana jest przede wszystkim jako osoba wypowiadająca się w jego imieniu, choć ma własny, niemały dorobek zawodowy.

JEJ SPOSÓB

Mowa tu o Irenie Popoff — rzeczniku prasowym szefa Urzędu Ochrony Państwa. Absolwentce Wydziału Filologii Uniwersytetu Łódzkiego, ze specjalizacją filmoznawstwo. Spikerce radiowej i dziennikarce z Redakcji Muzyki Rozrywkowej i Estradowej TVP, której po 13 grudnia 1981 roku nie dopuszczono do wykonywania zawodu.

Gdyby nie brutalne przerwanie kariery zawodowej, nigdy nie odeszłaby z zawodu, który odziedziczyła po ojcu, dziennikarzu radiowej „Trójki". Ale stało się...

Pracowała w różnych miejscach na zlecenia. Nikt jednak nie odważył się zaproponować jej etatu. Przyjęła więc pierwszą propozycję stałej pracy, jaką jej zaoferowano. Została sekretarką w Stowarzyszeniu Architektów Polskich i do dziś wdzięczna jest prezesowi, że zdecydował się w jej dowód osobisty wbić pieczątkę o stałym zatrudnieniu. Nie wytrzymała jednak długo w biurze. Zaczęła szukać czegoś ciekawszego, bardziej samodzielnego, rozwijającego. I tak trafiła, znowu na kilka miesięcy, do Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego, a potem do przedsiębiorstwa zagranicznego, w którym zakotwiczyła na 6 lat i „zrobiła karierę", awansując od sekretarki do dyrektora. Ale nie była to praca, na której jej zależało. Nie mogąc zdecydować się na powrót do telewizji, podjęła pracę w dzienniku „Rzeczpospolita". I ta praca zafascynowała ją, uświadomiła, że nie wystarcza już jej zajmowanie się wyłącznie rozrywką. Interesują ją problemy społeczne, polityczne, zachodzące zmiany. Chce w tym uczestniczyć.

W dzień biegała, by zebrać materiały do swoich artykułów od instytucji do urzędu, z konferencji na konferencję, wieczorem zajmowała się domem i córką, nie mogąc liczyć nawet na pomoc rodziców, bo już ich nie ma, a nocą pisała. Lubi pracować w nocy. Cisza uśpionego domu, pochrapywanie jamniczki, czuwającej nad snem swojej pani Kai i świadomość, że na to, co robi czekają, bo jest potrzebne, działa na nią jak najlepszy dopingujący środek. Jeśli w tle jest jeszcze jakaś cicha muzyka, to taką pracę nazywa przyjemnością. Trudniejszy jest poranek, ale...

Po trzech miesiącach pracy w „Rzeczpospolitej" redaktor Irenie Popoff zaproponowano stanowisko rzecznika prasowego szefa Urzędu Ochrony Państwa.

— Ja do UOP? — zdziwiła się. Nie przeczytałam w swoim życiu ani jednej książki szpiegowskiej, a poza tym nie mam pojęcia, co się tam robi. Z tego co wiem o byłej SB, nie chciałabym do tego gmachu nawet wchodzić.

A jednak propozycja zaintrygowała ją. Zwierzyła się swoim przyjaciołom, cytując powtarzaną wówczas wypowiedź premiera Mazowieckiego, który proponując redaktorowi Krzysztofowi Kozłowskiemu MSW powiedział: „Ten resort jest tak brudny, że muszę go powierzyć dżentelmenowi."

— Mam zaryzykować? — pytała.

Nie podjęła jednak decyzji od razu. Akredytowała się, jako dziennikarka „Rzeczpospolitej" na pierwszą po reorganizacji resortu konferencję prasową w MSW. Na pytania dziennikarzy odpowiadali wówczas: minister Krzysztof Kozłowski, szef UOP Andrzej Milczanowski, komendant główny Policji insp. Leszek Lamparski.

Następnego dnia przyszła na rozmowę z szefem UOP Andrzejem Milczanowskim. Znała jego solidarnościowy rodowód, wiedziała, że jest wymagający wobec siebie i wobec ludzi, z którymi pracuje, stanowczy i nieustępliwy w dążeniu do prawdy. Sprawę postawiła jasno.

— Stanowiska rzecznika prasowego nie mogę przyjąć, bo nie jestem przygotowana zawodowo do udzielania informacji innym o UOP. Chętnie jednak podejmę pracę w wydziale prasowym.

I tak zaczęła się jej praca najpierw p.o. rzecznika, potem rzecznika. Wyglądało na to, że od pierwszego dnia radzi sobie dobrze. Nie było to jednak takie proste. Każde przygotowanie informacji wymagało kilku godzin pracy i to nie tylko samodzielnej. Została przedstawiona wszystkim dyrektorom i z ich pomocy korzystała najczęściej. Nieraz pomagali jej, wyznaczeni przez nich, specjaliści. Zostawała wtedy po godzinach, by poznać temat. Zdarzało się, że wychodząc z urzędu uświadamiała sobie, iż nie zdążyła zrobić zakupów. Na szczęście Kaja, dziś prawie piętnastolatka, szybko stała się panią domu.

Irena Popoff korzysta z fachowej pomocy funkcjonariuszy UOP i dziś, kiedy po blisko trzech latach wie o tej instytucji sporo. Nie dzieli swoich kolegów na tych, którzy mają esbecką czy opozycyjną przeszłość. Ma inne, własne sposoby oceniania ludzi. Dzieli ich na życzliwych, uczynnych, chcących jej pomóc i z tymi lubi pracować oraz służbistów, wykonujących polecenie, z których pomocy korzysta tylko w ostateczności.

NA ŻYCIE

W wydziale prasowym, razem z nią, pracują trzy osoby. Kobiety. Zajmują się przygotowywaniem codziennego przeglądu prasy dla szefa i informacji dla dziennikarzy z radia, telewizji, dzienników oraz innych czasopism. Z reguły z wydziałem prasowym współpracują ci sami redaktorzy, zaprzyjaźnieni i z panią rzecznik, i z jej zespołem. Co pewien czas pojawiają się jednak nowi. Jedni na stałe, drudzy na sezon ogórkowy. Sporo jest chętnych, by wyrwać dla swojej gazety jakiś hit. Nieważne, czy sprawdzony, czy nie. Byleby napisać coś na pierwszą stronę.

Irena nie lubi dziennikarzy nierzetelnych i nie przygotowanych do pracy. Zdarza się, że musi odmówić pomocy. Zdarza się, że czuje się zażenowana postępowaniem innych. Tuż przed naszą rozmową, trafiła na jej biurko poszarpana, wymięta kartka, na której napisano pytania do wywiadu z szefem UOP. Połowa z nich dotyczyła innych służb, a nawet innych resortów. Dziennikarz zabiegający o rozmowę nie pofatygował się nawet, by przejrzeć ustawę o UOP i ustalić, co należy do kompetencji tego urzędu.

— Takiej kartki nie zaniosłabym na żadne biurko — mówi. Świadczy o braku szacunku do człowieka i jego pracy. Gdyby pytania były na temat, dałabym je do przepisania i przekazała szefowi. Ale nie mogę tego zrobić. Jutro czeka mnie rozmowa z panem redaktorem ubiegającym się o wywiad. Postaram się wskazać mu lekturę, z którą powinien zapoznać się przed rozmową. Jeśli zorientuje się on, że palnął gafę, będę się starała mu pomóc. Jeśli nie, będzie mu trudno przebrnąć przez sito, które zastawiam...

Z rozmów z najbliższymi współpracownicami pani Ireny, wiem, że nie lubi dziennikarzy, którzy wiedzą wszystko najlepiej i tylko przez grzeczność wysłuchują informacji, by i tak napisać swoje. Wobec niesolidnych potrafi być stanowcza, niedostępna. Początkującym chętnie pomaga. Zdarza się, że uzupełnia ich teksty jakąś informacją z ostatniej chwili, podpowiada tematy, pomaga zebrać materiał.

— Czego nauczyłam się w UOP? — Irena powtarza zadane jej pytanie.

— Odpowiedzialności za słowo. Mówienia tylko tego, co wiem na pewno i kontrolowania tego, co mówię. Firmowania swoją twarzą tylko prawdy. Odwagi w podejmowaniu decyzji o rezygnacji z pracy, gdy nie ma gwarancji na rzetelne jej wykonywanie.

Tak było, gdy po zmianie ekipy, na czele UOP stanął zwolennik ujawniania teczek. Odeszła pracować do „Ruchu". I do dziś ją tam wspominają, choć pracowała tam zaledwie przez dwa i pół miesiąca. A potem wróciła do zawodu, który stał się jej pasją. O tym, że ponownie otrzyma propozycję rzecznikowania dowiedziała się najpierw z prasy, która obwieściła już jej powrót, choć ona nie rozmawiała jeszcze z szefem UOP prof. Jerzym Koniecznym, bo była akurat w podróży służbowej. Z informacji jednak ucieszyła się. Ceniła sobie pracę z ekipą, która wróciła do UOP.

Nie ukrywa, że jako rzecznik miała i parę gaf. Jedna dotyczyła posła. Podała informacje do prasy, przekazała ją radiosłuchaczom i okazało się, że musi przeprosić, bo nie sprawdziła wszystkiego dokładnie. W prasie przyjęli to ze zrozumieniem, mieli jeszcze trochę czasu, poprawili. W radiu poleciało w eter. Trzeba było zabiegać o podanie sprostowania. Dziennikarze stawali na głowie, by wyrwać chwilę na antenie dla niej. Wiedziała, że robili to wyłącznie z dobrej woli. I udało się. Ale teraz, zanim powie słowo, po stokroć sprawdzi.

Nietrudno w tym zawodzie o stres. Co wtedy robi? Kładzie się spać. Każdą chandrę stara się przespać.

A relaks? Irena Popoff nie ma czasu na wprowadzenie do codziennego użytku tego słowa. Raz jest to obiad z córką w przytulnej restauracji. Innym razem stanie przy kuchni, by wyczarować na spotkanie z przyjaciółmi jakąś wschodnią potrawę. Bo zna się na tym, podobno, wyśmienicie. A zdarzyć się też może, że tak jak ja usłyszycie państwo w radiu znajomy głos, który zaoferuje najpierw z Kabaretu Starszych Panów piosenkę, co dobra jest na wszystko, potem pozwoli na chwilę wzruszenia przy przebojach z Piwnicy pod Baranami czy śpiewanych reportażach Wojtka Młynarskiego o walcu co wyrówna czy babuni, dla której na domowej drukarence... A na zakończenie piosenkę śpiewaną przez chór ukrzyżowanych facetów, z filmu „Życie Briana", o tym, że zawsze trzeba dostrzegać dobre strony życia. Będzie to relaks, który zafunduje państwu rzecznik prasowy szefa UOP, Irena Popoff, relaksująca się właśnie inną formą pracy.

I to jest jej sposób na ciekawe życie.

ELŻBIETA CIERLICA

zdj. Krzysztof Potocki

Na żywo

POLAKÓW PORTRET WŁASNY

O tej tematyce wystawa, obrazująca dzieje naszego narodu, zorganizowana kilkanaście lat temu w Krakowie, w Muzeum Narodowym, cieszyła się ogromnym powodzeniem, miała zresztą znakomitą prasę.

Gdyby ktoś wpadł na pomysł, aby odwzorować tamtą ekspozycję i ukazać kondycję rodaków czasu obecnego, w perspektywie ostatnich trzech lat, lecz nie w oparciu o dzieła sztuki, a na podstawie mozaiki z wycinków prasowych — obraz wypadłby nienajkorzystniej, jeśli nie karykaturalnie momentami.

Materiału z obrad sejmowych wystarczyłoby na opasłą księgę humoru narodu polskiego AD 1993. Już samo to, że ów naród został określony przez posłankę znaną z ekstremalnych wystąpień, jako zbiór przypadkowych ludzi, stanowi dostatecznie humorystyczne wprowadzenie w temat.

Przecież w ostatnim czasie nerwy jakby puściły i poczucie humoru opuściło naszych parlamentarzystów. Znany żartowniś w muszce, bez zająknienia — o dziwo — wyraził się o strajkujących nauczycielach per „motłoch", a flagman liberałów zagroził nowym projektem ustawy o związkach zawodowych, który to projekt ma ograniczyć do minimum prawo do strajku.

Wszyscy na wszystkich zrzucają winę za strajki, odium spada oczywiście na strajkujących...

Podwyższenie w takim momencie wysokości apanaży poselskich, było chyba dużą niezręcznością, odebraną przez społeczeństwo jako kiepski żart, bo tylko tak można było przyjąć tłumaczenie, iż inflacja powoduje, że posłowie nieomal dopłacają do utrzymania swych biur.

Najłatwiej oczywiście posłużyć się wypróbowaną w realsocu metodą przeciwstawiania jednych grup społecznych innym, napuszczania na siebie różnych środowisk zawodowych, wywołując w ten sposób niechęć wzajemną, zawiść i zamydlenie ludziom oczu, by przestali się zajmować zarobkami „góry", wydatkami na cele reprezentacyjne i aferami pochłaniającymi biliony złotych z majątku państwowego — czyli z pieniędzy podatników — a zajęli się przetrząsaniem kieszeni innych klientów „budżetówki", najlepiej tych tradycyjnie mniej jakby lubianych ogólnie. Na przykład — policjantów.

Korzystając z tego chwytu taktycznego, pan poseł Ryszard Bugaj zaproszony przez red. Bobera do programu „Listy o gospodarce", skonstatował, iż Policja zalicza się w Polsce do lepiej zarabiających grup zawodowych.

Czy rzeczywiście? Jeśli średnia płaca wynosi około 5 000 000 zł, a policjant ze służby patrolowej, tzw. krawężnikowiec, wyciąga góra 3 800 000—4 000 000 zł miesięcznie — to coś tu się nie zgadza. Przy czym należy wziąć pod uwagę, że nauczyciela na przykład obowiązuje limit 18 godzin pracy tygodniowo, policjanta zaś... dyspozycyjność obowiązująca o każdej porze dnia i nocy. W dodatku — przy całym szacunku dla trudu wszystkich innych zawodów — w żadnym przypadku nie wchodzi w grę narażenie życia ludzkiego wpisane jakby z góry w koszty własne, jak to ma miejsce w Policji.

Z twierdzeniem posła Bugaja kłóci się też porównanie płac Policji i wojska: najniższa pensja żołnierza zawodowego, w stopniu plutonowego, wynosi 4 560 000 zł.

W Rosji sowieckiej, w czasach wczesnego panowania władzy bolszewików, gdy milicja mogła jeszcze od biedy uchodzić za ludową, a bezwzględność Czeki, potem zaś GPU, traktowano jako zło konieczne i działania w obronie młodej republiki radzieckiej, zagrożonej zewsząd przez „wrogów ludu" — propagandyści mający za zadanie ukazywanie najczarniejszych stron funkcjonowania systemów „burżuazyjnych", ze szczególnym upodobaniem powtarzali za Leninem, że państwo totalitarne, to jest to takie państwo, w którym policjant zarabia więcej od nauczyciela.

Pewno nieprędko się dowiemy, jak kształtowały się w stosunku do mizernych płac nauczycielskich, zarobki funkcjonariuszy milicji radzieckiej i KGB. Przecież wątpić raczej należy, by tym ostatnim działa się krzywda.

Co do naszego podwórka — jeśli jakikolwiek totalitaryzm miałby nam zagrażać, co nie daj Boże, to z całą pewnością nie spowodowany nadmiernym dobrobytem opływających w beneficja funkcjonariuszy Policji. Z nauczycielami są fifty-fifty.

O rzeczywistym stanie kasy policyjnej, o niedoborach i potrzebach bieżących, jeśli idzie o uzbrojenie, technikę, transport, umundurowanie, autor felietonów „Na żywo" pisał wielokrotnie. Dzisiaj wypada już tylko dodać, że uposażenie policjanta tym bardziej nie powinno być podawane do wiadomości publicznej w formie „fałszywki". Zwłaszcza gdy wypowiada się na ten temat poseł, od którego można wymagać trochę więcej niż np. od żądnego sensacji żurnalisty.

Czyżby to miała być odgrywka za ujawniane przez Policję, karygodne przypadki prowadzenia samochodów przez nietrzeźwych parlamentarzystów?

LECH TERPIŁOWSKI

STRZELANINA NA SIEKIERKAC

■ Oj, zmieniają się czasy. Kiedyś, ładnych kilka lat temu, sekretarki naczelników, komendantów, jeżeli już angażowały się w działalność poza służbą, to z reguły występowały na jakichś wieczorach autorskich, śpiewały piosenki na festiwalach policyjnych. Teraz nowe sekretarskie kadry inaczej myślą o swojej profesji i ostro wzięły się za strzelanie. Przykładem może być st. post. Ewa Malinowska z Wydziału Prezydialnego KWP w Płocku, która nie dość że na III zawodach o Puchar Komendanta Stołecznego Policji zorganizowanych dla uczczenia rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja, strzelała jak rasowy komandos, to jeszcze zachowywała się i wyglądała jak prawdziwa dama.

Przede wszystkim liczą się wyniki. A te niektórym komendantom dadzą sporą dozę radości, a innym będą solą w oku. Sól ziemi czarnej, czyli drużyna z KRP w Świętochłowicach przyjechała na własny koszt, kombinując jak tu znaleźć wolny dzień od służby (komendant wojewódzki nie wziął pod uwagę tego, że na I zawodach zajęli II miejsce drużynowo, a w ubiegłym roku czwarte). I zgarnęła całą pulę! Piątka ze Świętochłowic zajęła drużynowo pierwsze miejsce (1368 pkt.). Sierżant Zdzisław Łukasz wywalczył indywidualnie pierwsze miejsce. Za Świętochłowicami drużynowo po kolei uplasowały się reprezentacja KWP w Olsztynie (1339 pkt.) i KSP I — (1300 pkt.). Po Zdzisławie Łukaszu — 298 pkt., zajęli: Bogumił Nawotka z KWP w Olsztynie (280 pkt.) i Roman Kleszcz z KWP w Poznaniu (279 pkt.).

Czterech zawodników ze Świętochłowic znalazło się w I dziesiątce, a piąty w piętnastce.

W każdym razie nasza firma, tj. Redakcja „GP" i „MK 997", zachowała się jak Blake Carrington na balu dobroczynnym. Redaktor naczelna ufundowała za 2 miliony radiomagnetofon firmy PHILIPS dla zwycięzcy indywidualnego i za 2 miliony nagrody książkowe (kodeksy bardzo potrzebne gliniarzom) dla pierwszej drużyny. I wszystko to pojechało do Świętochłowic. Przy okazji wyjaśniam, że te pieniądze na nagrody uzyskaliśmy wcześniej za reklamy na naszych łamach.

Teraz wróćmy do owych strzelających sekretarek. Pani Ewa Malinowska i Sławomira Zagrodzka z KWP w Płocku, podobnie jak ponad setka zawodników z dwudziestu kilku drużyn z całego kraju, którzy dotarli na ten turniej, na dobrą sprawę traktowany jako mistrzostwa strzeleckie polskich policjantów, musiały najpierw w ciągu 6 minut wystrzelać 20 pocisków do tarczy z odległości 25 metrów, a potem po przebiegnięciu 100 metrów oddać po 6 strzałów do tarczy z odległości 25 metrów i większej, tj. sylwetki z 50 metrów. I na tej drugiej dyscyplinie oznaczonej regulaminowo S-8 zdarzył się przypadek, który można by zakwalifikować do księgi rekordów Guinnessa. Otóż zawodnik nomen omen znów z Płocka zaliczył na 6 strzałów do sylwetki (tej na 50 m) jedenaście trafień. Później sumienna komisja sędziowska pod wodzą niezniszczalnego „dziadka" Jerzego Maszera, ustaliła, że źle ustawił się na linii i waląc do tarczy na 25 metrów przestrzelił tę sylwetkę na pięćdziesiątce.

I na koniec. Szlachetna sportowa rywalizacja, jaka wytworzyła się na strzelnicy NJW MSW na warszawskich Siekierkach, to nie tylko zawody — to coś więcej. Doświadczenia z Siekierek przenosi się na jednostki w terenie. Niewątpliwą prawdą jest, że policjant, który dobrze strzela, jest sprawny fizycznie, będzie naszym stróżem porządku z prawdziwego zdarzenia i tak trzymać.

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

NA

ACH

a zwycięzcy
grody książ-
gliniarzom)
to pojecha-
wyjaśniam,
uzyskaliśmy
łamach.

lających se-
i Sławomira
odobnie jak
dziestu kilku
tarli na ten
owany jako
policjantów,
t wystrzelać
i 25 metrów,
etrów oddać
ości 25 met-
50 metrów.
czonej regu-
padek, który
egi rekordów
omen znów
do sylwetki
Później su-
wodzą nie-
go Maszera,
inii i waląc
zelił tę syl-

owa rywali-
zelnicy NJW
kach, to nie
oświadczenia
stki w tere-
że policjant,
ny fizycznie,
z prawdzi-

IORODECKI
okrzyszewski

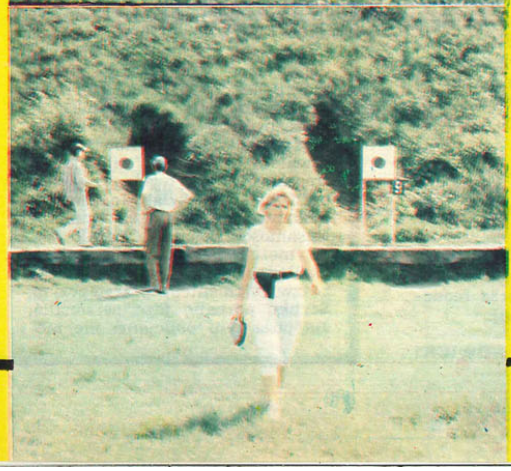

PROSTO Z DROGI

NOWA EWIDENCJA

22 maja br. weszło w życie rozporządzenie ministra transportu i gospodarki morskiej w sprawie rejestracji, ewidencji i oznaczania pojazdów, które ogłoszone zostało w Dzienniku Ustaw nr 37/93. Oto najważniejsze postanowienia tego dokumentu:

- wszystkie plastykowe tablice rejestracyjne trzeba będzie wymienić na tablice blaszane do końca 1995 r. Urzędy komunikacji będą mogły wydawać tablice plastykowe tylko do końca bieżącego roku;
- producenci tablic będą musieli posiadać atest ministra transportu. Produkowane tablice będą cechowane;
- do końca 1995 r. znikną specjalne tablice wydawane cudzoziemcom, rozpoczynające się na literę I (np. IWA) oraz tablice z 3 literami, 3 cyframi i literą na końcu (np. WAT 501B);
- w rozporządzeniu określono dokładny wzór wniosku o zarejestrowanie pojazdu (dotychczas taki wzór nie był określony);
- jeśli ktoś będzie chciał zarejestrować „składaka", nie będzie już musiał przedstawiać dowodu własności na wszystkie części pojazdu. Obowiązek udowodnienia własności będzie dotyczył tylko fabrycznie numerowanych części pojazdu (nadwozia, podwozia i silnika).

ŚWIECĄCE PRAWO JAZDY

Od niespełna miesiąca wydziały komunikacji wydają kierowcom „świecące" prawa jazdy oraz dowody rejestracyjne pojazdów. Blankiety tych dokumentów różnią się od dotychczasowych czerwonymi numerami identyfikacyjnymi. Numery, powleczone specjalną substancją, fosforyzują pod wpływem promieni ultrafioletowych. Te fluorescencyjne cyfry oraz mikrodruk, odczytywany tylko za pomocą szkła powiększającego, mają — w zamyśle twórców tych dokumentów — zabezpieczyć je przed sfałszowaniem lub podrobieniem, a tym samym uniemożliwić złodziejom „upłynnienie" skradzionych samochodów. Czy życzenia te zostaną spełnione — mam duże wątpliwości.

NIE DAJ SIĘ OSZUKAĆ

Citroën (modele: DS 19, DS 20, DS 21, DS 23, ID 19, ID 20). **Numer samochodu** wybity jest na prawej stronie, na krawędzi rynienki pasa podokiennego, pod gumową uszczelką, od strony komory silnika. W wersji angielskiej numer jest umieszczony w tym samym miejscu, z lewej strony. Składa się on z ośmiu znaków, ograniczonych z przodu i z tyłu znakiem firmowym. Dwa pierwsze znaki numeru oznaczają numer serii, dwa następne rok produkcji, cztery pozostałe kolejny numer samochodu. **Numer silnika** umieszczony jest na tabliczce nitowanej (przykręcanej) z prawej strony korpusu, pod pompą, na łapie do mocowania rozrusznika.

NA WĘGRZECH DROŻEJ

Na Węgrzech podrożały mandaty. Dla przykładu, nietrzeźwy kierowca zapłaci obecnie równowartość 340 USD, trzy razy więcej niż dotychczas. W podobnej wysokości mandaty nakładane są za: spowodowanie wypadku z ofiarami w ludziach, znaczne przekroczenie prędkości, nieprzestrzeganie przepisów na przejazdach kolejowych (zwłaszcza znaku „stop") oraz brak obowiązkowego ubezpieczenia samochodu.

Węgierska policja zwraca również baczną uwagę na używanie przez kierowców pasów bezpieczeństwa. Obowiązek ten Madziarzy wprowadzili w marcu br.

JAKA GAŚNICA?

Nowe rozporządzenie ministra transportu i gospodarki morskiej w sprawie warunków technicznych i badań pojazdów z 1 lutego 1993 r. nakłada na kierowców obowiązek wyposażenia swojego samochodu m.in. w gaśnicę ppoż. Ani typ gaśnicy, ani jej pojemność nie zostały w tym dokumencie określone. Przepis stwierdza jedynie, że od 1 lipca br. gaśnice trzeba będzie przewozić w łatwo dostępnym miejscu.

W jaką więc gaśnicę wyposażyć swój samochód? Według ekspertów Państwowej Straży Pożarnej, najbardziej przydatne w samochodzie są gaśnice proszkowe lub halonowe o pojemności od 1 kg środka gaśniczego wzwyż. Dostępne gaśnice proszkowe mają ciężar 1, 2, 3, 4, 6, 9 i 12 kg. Powinny mieć na etykiecie duże litery ABC lub BC.

Przy zakupie sprawdzajmy również, czy gaśnica posiada polski atest. Pamiętajmy też, że żadna gaśnica wyprodukowana w krajach WNP nie została dopuszczona do użytku w Polsce.

J. PACIORKOWSKI

Od czterech lat istnieją na naszym rynku komercyjne firmy ochrony osób i mienia. Ustawa z 23 grudnia 1988 roku o działalności gospodarczej (Dz. U. nr 41, poz. 324), umożliwiła między innymi prowadzenie działalności gospodarczej w zakresie usług ochrony osób i mienia, uzależniając podjęcie tej działalności od uzyskania koncesji, którą wydaje minister spraw wewnętrznych.

Początkowo, na skutek tego, że organ koncesyjny pojmował usługę ochronną w wąskim znaczeniu, poza koncesjonowaniem pozostawały wszystkie firmy zajmujące się projektowaniem, wykonywaniem oraz konserwacją technicznych środków zabezpieczających, tzw. systemów alarmowych. Od końca 1992 r. na firmy zajmujące się zabezpieczeniem technicznym został nałożony obowiązek uzyskania koncesji.

POLICJANCI-DETEKTYWI

Można szacować, że w Polsce działa od 8 do 10 tysięcy firm świadczących usługi w zakresie zabezpieczenia technicznego oraz od 3 do 5 tysięcy firm ochrony. Zatrudniają one około 100 tysięcy pracowników.

Pracownicy firm ochrony, potocznie zwani agentami ochrony, nie posiadają szczególnego statusu prawnego, w tym co najistotniejsze zawodowego. Agent ochrony ma takie same uprawnienia i obowiązki jak każdy obywatel. Oznacza to, że ma prawo podjąć tzw. obronę konieczną (art. 22 kodeksu karnego) oraz tzw. działania ratownicze (art. 23 kodeksu karnego), a także ująć sprawcę na gorącym uczynku przestępstwa lub w bezpośrednim pościgu i bezzwłocznie oddać go w ręce Policji (art. 205 kodeksu postępowania karnego). Agent ochrony, tak jak każdy obywatel, może posiadać broń palną oraz inne określone przez prawo środki obrony osobistej, np. miotacz gazowy. Uzyskuje je na podstawie indywidualnego pozwolenia wydawanego przez Policję. Praca agenta ochrony, mimo że ma charakter niebezpieczny (z umowy o pracę wynika obowiązek chronienia powierzonego dobra, nawet z narażeniem się na niebezpieczeństwo osobiste) nie została uznana przez prawo jako rodzaj zawodu. Kwalifikacje zawodowe agenta ochrony również nie są określone prawnie.

„Całość obowiązujących w Polsce przepisów prawnych jest nieprzejrzysta, nadmiernie rozbudowana i niespójna. Sąsiadują ze sobą prawa i normy ustanowione w różnych epokach. Znaczna część tych przepisów jest nie przystosowana do nowych zasad ustrojowych i zmienionych warunków gospodarczych i społecznych (...). Stan ten powoduje rozmycie kompetencji i odpowiedzialności, utrudnia działania racjonalne i pożyteczne, a sprzyja nadużyciom, patologiom w różnych dziedzinach życia." — napisano w raporcie o stanie państwa na przełomie lat 1991—1992.

Oceny te w pełni odnoszą się do sytuacji prawnej firm ochrony, w tym zakresie należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że dotkliwie odczuwa się brak trzech rozporządzeń, o których mówi się w ustawie z 16 października 1991 r. o zmianie ustawy o działalności gospodarczej (Dz.U. nr 107, poz. 460). Rada Ministrów powinna określić szczegółowe warunki wykonywania usług ochronnych, a także rodzaje, wysokość i sposób zabezpieczenia majątkowych roszczeń osób trzecich wobec firm ochrony z tytułu prowadzenia działalności gospodarczej, minister spraw wewnętrznych zaś — rodzaje dokumentów i zakres informacji, jakie firma ochrony zobowiązana jest przedstawić w wyznaczonym terminie, aby uprawdopodobnić, że spełnia warunki wykonywania działalności gospodarczej, które będą określone w koncesji lub wynikają z odrębnych przepisów.

Kolejny rząd w programie „Sprawiedliwe i bezpieczne państwo" (Rada Ministrów, wrzesień 1992), zapowiadał między innymi dokonanie przeglądu systemu koncesji oraz zmniejszenie skali uznaniowości. Odpowiednie akty prawne mają wejść w życie w trzecim kwartale 1993 r. Do 31 grudnia 1992 r. minister spraw wewnętrznych miał przygotować w porozumieniu z Urzędem Rady Ministrów „nowe regulacje prawne dotyczące ochrony podmiotów gospodarczych, banków itp. oraz regulacje określające prawne możliwości działania zagranicznych podmiotów zajmujących się ochroną mienia i osób oraz zbieraniem i udostępnianiem informacji gospodarczych".

W sytuacji braku podstawowych aktów prawnych organ koncesyjny przy rozpatrywaniu spraw stosuje kryteria kwalifikacyjne, które naruszają obowiązujący porządek prawny. Między innymi wymaga od wnioskodawców przedłożenia „dokumentów potwierdzających posiadanie kwalifikacji zawodowych", a także „zatrudnienia w zawodzie mającym związek z planowaną działalnością gospodarczą". Ustawa o działalności gospodarczej stanowi, że osoba podejmująca działalność gospodarczą musi legitymować się „odpowiednimi kwalifikacjami, jeżeli z przepisów odrębnych ustaw wynika obowiązek posiadania takich kwalifikacji" (art. 3, ust. 2).

Jak widać, brak jest powszechnie obowiązujących szczegółowych wymagań normujących systemy zabezpieczenia i ochrony określonych typów obiektów i rodzajów mienia, a także procedur ich weryfikacji i atestacji.

Konieczne więc jest przygotowanie niezbędnego pakietu rozporządzeń. Stworzą one siatkę szczególnych normatywnych obowiązków i uprawnień dla firm i pracowników świadczących usługi przede wszystkim w zakresie fizycznej ochrony mienia.

Równolegle należy podjąć prace nad perspektywicznym kształtem systemu zabezpieczenia i ochrony dóbr prawnie chronionych, przede wszystkim mienia. Określić go powinny dwie ustawy: o ochronie mienia oraz o przedsiębiorstwach szczególnego zaufania.

Pierwsza uregulować powinna szczegółowe wymagania wobec stosowanych sposobów i środków zabezpieczenia i ochrony poszczególnych typów obiektów i rodzajów mienia, a także wskazać podmioty upoważnione do ich weryfikacji i atestacji oraz stosowane przez nich procedury.

Druga ustawa określi szczególne wymagania wobec instytucji państwowych oraz przedsiębiorstw i pracowników, którzy podejmują i prowadzą działania zabezpieczająco-ochronne w odniesieniu do poszczególnych rodzajów dóbr chronionych prawnie, w tym mienia, a także kwestie wzajemnych relacji między nimi (prawa i obowiązki).

W pracach nad przepisami prawnymi nie może zostać zlekceważony głos reprezentantów środowisk świadczących usługi zabezpieczająco-ochronne oraz ich dorobek.

Perspektywy rozwoju usług ochronnych są optymistyczne. Konieczne staje się jednak stworzenie reprezentanta interesów gospodarczych oraz modelatora zasad etyki w działalności ochronnej.

dr ZBIGNIEW T. NOWICKI

Paweł znany był policjantom w Warszawie na Woli od dawna. Wychowywał się w wielodzietnej rodzinie. Jego rodzice nie stronili od alkoholu. Ojciec często nie wracał do domu przez całe tygodnie. Chłopak zaczął od drobnych kradzieży, włamań samochodowych i chuligańskich wybryków. Po badaniach skierowano go do szkoły specjalnej. Cierpiał na niedorozwój umysłowy.

Drobne kradzieże z wiekiem były uzupełniane przestępstwami coraz cięższego kalibru. Kiedy skończył 14 lat, rzucał się na przechodniów z tasakiem. Rok później zgwałcił koleżankę z klasy w bardzo brutalny sposób. Kiedy skończył 17 lat, tak pobił najstarszego brata, że ten wylądował na osiem miesięcy w szpitalu.

Cóż z tego, że dzięki staraniom dzielnicowego, st. sierż. Tadeusza Grabowskiego trafiał do schronisk dla nieletnich i poprawczaka, skoro po niedługim czasie znów wychodził na wolność. Badania psychiatryczne wykazały częściową niepoczytalność chłopca. Chowała go więc nadal ulica.

Alkohol we wszelkiej postaci był oczywiście nieodłącznym jego partnerem od najmłodszych lat. Po kieliszku stawał się bardzo agresywny, nie panował nad sobą, podczas gdy na trzeźwo nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego przestępcy. Niezbyt wysoki o blond włosach i niebieskich oczach, często się uśmiecha, nawet wówczas, gdy opowiada te najstraszniejsze historie ze swojego życiorysu.

29 października ub.r.

NA ŚRODKU ULICY

Miedzianej, tuż przy skrzyżowaniu z Pańską, a więc w centrum „Dzikiego Zachodu", jak nazywają ten rejon policjanci z Woli, znaleziono zwłoki 47-letniego mężczyzny. Miał zmasakrowaną twarz, ponadto ślady po licznych pchnięciach nożem w okolicy klatki piersiowej i szyi. Obok leżały jego buty. Policjanci nie znaleźli przy nim żadnych pieniędzy ani dokumentów. Sugerowałoby to motyw rabunkowy, zmasakrowana twarz z kolei bardziej świadczyłaby o zemście. Śledztwo rozpoczęto od ustalenia tożsamości denata. Okazało się, że mężczyzna ten mieszkał w okolicy i utrzymywał kontakty z tzw. elementem przestępczym. Szybko poznano jego personalia, ale poza tym policjanci nie mo-

Wychowanek ul. WRONIEJ

gli trafić na ślad zabójcy Jerzego N.

Paweł utrzymywał

KONTAKTY Z DZIEWCZYNĄ

z Pragi-Północ. We wrześniu podczas odwiedzin zastał u niej innego faceta. Doszło do bójki i 19-latek trochę oberwał. Wychodząc stwierdził, że jeszcze tu wróci „z brygadą". Słowa dotrzymał. Za „brygadę" miał wystarczyć jego starszy kolega z ulicy Pańskiej Bogdan P. Na oczach właścicielki mieszkania rzucili się na jej przyjaciela. Pobili go używając m.in. roztrzaskanej butelki po wódce. W wyniku odniesionych ran mężczyzna ten zmarł, a właścicielka mieszkania złożyła zameldowanie w KRP na Pradze-Północ.

Trzy miesiące później policjanci zatrzymali Bogdana P. Został rozpoznany jako współsprawca pobicia ze skutkiem śmiertelnym. Przyznał się. Ale zapytany, z kim był i dlaczego to zrobił, nie był już tak rozmowny. Nie pamięta, o co poszło, ale na pewno był sam. Zdecydowanie zaprzeczył, aby towarzyszył mu Paweł.

Mimo to ten ostatni dostał „cynk", że Bogdan „pucuje" go w areszcie, tj. zeznaje przeciw niemu. Wściekł się, wypił parę kieliszków wódki i wybrał się do pani Grażyny, konkubiny Bogdana.

GROZIŁ JEJ ŚMIERCIĄ

pobił jej ojca, inwalidę, a następnie trzyletnie dziecko Bogdana i Grażyny. Chwycił je za nogi i uderzył głową o ścianę, a potem wystawił za okno na IV piętrze i pytał, czy ma puścić...

Napadnięta w swoim mieszkaniu zgłosiła zajście na policji, ale nie chciała powiedzieć, kto to zrobił, mimo iż jej synek z ciężkimi obrażeniami ciała i wstrząsem mózgu przebywał w szpitalu.

Identycznie było ze zgłaszającymi rozboje czy kradzieże zuchwałe, jakie miały miejsce w okolicach Wroniej i Pańskiej — mówi naczelnik sekcji zabójstw w Wydziale Dochodzeniowym KRP Warszawa-Wola kom. Krzysztof Mistewicz. — Ludzie najpierw zawiadamiali nas o przestępstwie, którego padli ofiarą, a potem wycofywali się, nie chcieli uczestniczyć w okazaniu podejrzanego, podać rysopisu itp. Czuliśmy, że są zastraszeni i choć domyślaliśmy się przez kogo, nie mogliśmy nic zrobić.

Po pobiciu na Pradze-Północ, mimo iż Bogdan do końca go nie sypnął, Paweł

UKRYWAŁ SIĘ

w różnych warszawskich melinach pijackich. M.in. przy ulicy Bema. Tam właśnie podczas jednej z libacji pokłócił się z bratem właścicielki mieszkania 55-letniej kobiety. Ta stanęła w obronie członka swojej rodziny, więc pchnął ją na podłogę, skoczył na klatkę piersiową, łamiąc jej w ten sposób żebra, uderzył kilkakrotnie w głowę i usiłował dusić. W wyniku odniesionych ran kobieta zmarła.

Tym razem świadkowie zdarzenia nie kryli Pawła. Wręcz przeciwnie. Wszyscy zgodnym chórem zeznawali przeciwko niemu. Policjanci organizowali kolejne zasadzki wokół jego domu. Brali w nich udział funkcjonariusze z wydziałów operacyjno-rozpoznawczych KRP na Woli i na Pradze-Północ, a także policjanci z VII Komisariatu Policji na Woli. Niestety, Paweł wciąż miał szczęście albo ktoś go uprzedzał i za każdym razem nie pojawiał się wówczas w okolicy Wroniej.

31 marca znów nieźle popił i nie bacząc na niebezpieczeństwo zjawił się w domu u matki. Informacja o tym błyskawicznie dotarła do VII Komisariatu i KRP na Woli. Zebrano siedmiu policjantów. Kiedy weszli do mieszkania, Paweł rozpłakał się. Objął za szyję dzielnicowego st. sierż. Tadeusza Grabowskiego i wyznał mu: „Jak to dobrze, że pan przyszedł!".

*

29 października Paweł, Bogdan i kilku innych kolegów piło razem wódkę w jednej z melin w okolicy ul. Pańskiej. Wśród nich był Jerzy N., który nagle stwierdził, że Paweł to UCHO, bo kiedyś siedział razem z nim w areszcie, a potem policjanci wiedzieli o wszystkim, o czym mu wówczas powiedział. Paweł tego darować nie mógł. Wyszli we trójkę wraz z Bogdanem i 19-latek od razu uderzył Jerzego pięścią w twarz. Ten zaczął uciekać. Miał przy sobie nóż, który podczas biegu wypadł mu z kieszeni. Paweł nie przerywając pogoni podniósł to śmiercionośne narzędzie i po chwili dopadł pomawiającego go przed chwilą na melinie Jerzego. Wywiązała się bójka, której Bodgan przyglądał się z daleka. Paweł uderzył swojego przeciwnika nożem w twarz, potem w szyję i okolicę serca. Nie przestawał, gdy tamten leżał już na ziemi. Po czym obaj z Bogdanem poszli w swoją stronę, zostawiając kolegę na środku ulicy...

Mimo iż ciążyły na nim głównie zarzuty o dwa pobicia ze skutkiem śmiertelnym i ciężkie pobicie 3-letniego dziecka, Paweł niespodziewanie sam

PRZYZNAŁ SIĘ

do zabójstwa na Miedzianej. Natomiast dotąd nie przyznaje się do pobicia ze skutkiem śmiertelnym w melinie przy ulicy Bema, choć wszyscy świadkowie go o to pomawiają. Zaprzecza również, aby znęcał się nad dzieckiem swojego kolegi, ale czyni to prawdopodobnie w obawie przed szykanami w areszcie. Współwięźniowie bardzo nie lubią bijących małe dzieci.

O zabójstwie na Miedzianej mówi z łagodnym uśmiechem na ustach. „Zabiłem, no tak i cóż się takiego stało? Najdalej za 3 miesiące wyjdę, bo mam papiery"...

Na myśl, że rzeczywiście może tak się stać, kom. Mistewicz, choć to policjant zahartowany w walce ze wszelkiego autoramentu bandytami, dostaje dreszczy. Strach pomyśleć, co by się znów działo w okolicy Wroniej, gdyby wrócił tu Paweł, już absolutnie przeświadczony o swojej bezkarności ze względu na „papiery".

Miejmy nadzieję, że nawet jeżeli nie dojdzie do rozprawy w sądzie ze względu na te „papiery", to zostanie zastosowany inny środek społecznej izolacji. W przeciwnym razie okoliczną ludność już dziś należałoby zacząć przesiedlać, a Wronią, Pańską i Miedzianą omijać z daleka.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

MIŁOŚĆ I ZBRODNIA

EROTYKA, PIENIĄDZE, I...

— Dopóki istnieją ludzie — miłość, seks i erotyka pozostaną ważne.

Monika skończyła niedawno 20 lat. Od półtora roku wraz z Jerzym zajmują się produkcją filmów o...

— Miłości — uśmiecha się, poprawiając kasztanowe loki. — Właśnie teraz nadszedł czas robienia w Polsce filmów erotycznych.

— Teraz?

— Seks może być również interesem, czego niektórzy zdają się nie zauważać. I my właśnie na tym chcemy uczciwie zarobić pieniądze.

Monika poznała Jerzego, kiedy ten skończył drugi rok łódzkiej szkoły filmowej.

— Nie było sensu uczyć się dalej. Po otrzymaniu dyplomu reżyserskiego mógłbym tylko oprawić go w ramy i... udać się do najbliższego pośredniaka w poszukiwaniu pracy. Dlatego wraz z kilku kolegami postanowiłem zająć się robieniem fotek do licznie powstających przed trzema laty ilustrowanych pism „dla dorosłych". Podczas sesji zdjęciowych poznałem wiele dziewcząt, które wyrażały gotowość pozowań do śmielszych ujęć. W 1990 nakręciliśmy w tym gronie pierwszy film erotyczny. Pracowaliśmy nad nim pół roku, ale w sumie się opłaciło. Gotowy materiał kolega zawiózł do Flensburga, gdzie mieści się Towarzystwo Akcyjne Beate Uhse.

— Potentata w produkcji filmów porno na terenie Niemiec?

— Nie używałbym słowa „pornografia". Seks może być piękną przygodą. My nie zajmujemy się jego stroną patologiczną.

— Jak w firmie przyjęto waszą propozycję?

— Wytknięto kilka błędów w sztuce. Jednak tamtejsi producenci nas zauważyli. Otrzymaliśmy konkretne zamówienie, które miało być ostatecznym sprawdzianem. Udało się. Podpisałem z Moniką roczny kontrakt na sześć filmów. To znaczy, żebyśmy się dobrze zrozumieli, zostaliśmy wynajęci do wykonania roboty, pod którą podpisał się ktoś inny. Mimo to opłacało się. Dzięki zarobionym pieniądzom mogliśmy zakupić profesjonalną kamerę wraz z niezbędnym osprzętem. Od roku jesteśmy już na własnym garnuszku. W kraju, wcześniej czy później, powstaną firmy zajmujące się seksfilmami, a my chcemy być pierwsi w tym interesie.

— Ile produkujecie rocznie pełnometrażówek?

— W ciągu sześciu miesięcy robimy średnio około ośmiu 70-minutowych filmów fabularnych.

— Gdzie je sprzedajecie?

— Powiem o jednym sposobie na dystrybucję. Zamiast polskiej ścieżki dźwiękowej robimy wersję niemieckojęzyczną. Następnie nakładamy na to głos polskiego lektora. Gotowy produkt oddajemy zaufanemu dystrybutorowi, który rozprowadza filmy po kraju.

— Ile zarabiacie na jednym obrazie?

— Wystarczająco, by spokojnie myśleć o następnym zamierzeniu.

— Ile płacicie „aktorom", a zwłaszcza „aktorkom"?

— To zależy od rodzaju kręconych scen.

— Więc ile?

— Ostatnio jedna z naszych dziewczyn zarobiła 42 miliony zł.

— Czterdzieści dwa nie opodatkowane miliony.

W SERCU WZGARDZONEGO MĘŻCZYZNY

Choć ta historia naprawdę zdarzyła się w Krakowie, przez jej wydźwięk obyczajowy zataję nazwiska bohaterów. Rzeczy miały się następująco. 42-letni obecnie pan, powiedzmy: Wojtek, mąż żonie, ojciec dwójce dorastających dzieci zadurzył się nieprzytomnie w 29-letniej pani, nazwijmy ją Anią, damie stanu wolnego, lecz obarczonej parką udanych latorośli.

Uczucie ich rozkwitło gwałtownie, karmione romantycznymi randkami na podwawelskich bulwarach, tkliwymi liścikami i prezentami słanymi wybrance przez bel-amiego. Lecz wszystko co piękne ma przecież swój kres, więc i pewnego dnia namiętność pani Ani do łysiejącego amanta jakby nieco przygasła, czego dama owa nie omieszkała dać mu do zrozumienia.

W sercu wzgardzonego mężczyzny kipiały ból i wściekłość. Najbardziej żałował nierozumnie nakupionych podarków i epistoł, w których erupcje kwiecistych słów świadczyły o sile minionego uwielbienia. Dla ich odzyskania przebrany w perukę pan Wojtek zjechał nawet po linie na balkon pani Ani, ale niewiele wskórał. Pamiątek utraconej miłości nie odebrał, za to w otoczeniu zyskał opinię człeka „fest szurniętego".

Kiedyś, w stanie kompletnego zapewne rozkojarzenia umysłu, zaświtała panu Wojtkowi myśl brzemienna w skutki. Pojął, że jedyną karą dla zdrajczyni będzie okrutna śmierć. Nazajutrz więc w swoim fordzie grenadzie zaczaił się na trasie, którą pani Anna zmierzała codziennie do pracy, i z wyrachowaniem przejechał kobietę na chodniku. Następnie, myśląc, że pozostawił na drodze krwawą miazgę popędził do własnego mieszkania.

Tutaj próbował najpierw zabić się prądem, ale jego organizm okazał się niezwykle odporny na marne 220 woltów. (Ku niewygodzie frustratorów w miejskich sieciach nie krąży prąd taki, jak w krzesłach elektrycznych). Następnie pożarł całą apteczkę leków, sporo przy tym barbituranów, i w oczekiwaniu na rychłą śmierć wyciągnął się na tapczanie.

Nie dano mu jednak spokojnie wyzionąć ducha i przymusowo odtransportowano na wydział toksykologii, gdzie przeszedł czyszczenie kiszek, jakie niegdyś stało się udziałem Szwejka. Odratowany, dowiedział się, że przedmiot jego udręki żyje i ma się całkiem nieźle. Poza paroma sińcami i otarciami skóry pani Anna wyszła z tarapatów bez szwanku.

Pół roku kurował się pan Wojtek w szpitalu, gdzie w wielu drzwiach przez czyjeś niedopatrzenie brakowało klamek, aż wreszcie lekarze uznali, że może wrócić do społeczności. Na razie na przepustkę, dla próby.

O nic więcej panu Wojciechowi jednak nie chodziło. Wbrew przypuszczeniom medyków wciąż przepełniał go gniew, a w mózgu brzmiał kategoryczny imperatyw: Zabić! Toteż zaraz po opuszczeniu kliniki mąż ów zawzięty uruchomił swą wierną grenadę i ruszył ponownie zapolować na niewierną kochankę.

— Z chęcią płaciłbym fiskusowi i legalnie zajął się interesem.

— Być może niektórzy z Czytelników oczami wyobraźni już widzą domową orgię filmowaną przez...

— Nic podobnego — Monika wpada w słowo. — Mimo że robimy filmy o tematyce erotycznej, na planie jesteśmy bardziej niż pruderyjni. Podczas kręcenia danego ujęcia są tylko niezbędne osoby potrzebne przy jego realizacji, nie zaś zastępy gapiów z niezdrowymi wypiekami na twarzy.

— Nadal jesteście przekonani, że wszystko się powiedzie?

— Czemu nie, przecież ciągle słyszymy o braniu spraw w swoje ręce. Podobnie kiedyś zrobiła Beate Uhse. Chcemy dać ludziom możność wyboru i jesteśmy przekonani, że nawet ci, którzy teraz mają usta pełne frazesów o właściwie pojmowanej skromności erotycznej nieraz w zaciszu domowym, po zaciągnięciu zasłon, obejrzeli „świerszczyk" lub tego rodzaju film. Jesteśmy przecież tylko ludźmi.

PAWEŁ SZLACHETKO

PS Powyższy tekst po raz enty jest dowodem na to, że moraliści mówią swoje, a życie wbrew głoszonym przez nich zasadom wydeptuje własne ścieżki. Tak jest nie tylko w sprawach seksu, ale i w wielu innych dziedzinach życia codziennego, na którego obrzeżach ludzie robią całkiem dochodowe interesy. Może zatem uświadamiając sobie tę prawdę, państwo (fiskus) również skorzystałoby z dochodów, które przynoszą owe interesy. Oczywiście wzorem strusia można schować głowę w piasek i niczego nie dostrzegać. Być może świat wówczas wygląda bardziej moralnie. Ale czy tak jest?

Tym razem skutki nagłego najechania na nie spodziewającą się niczego niewiastę były fatalniejsze. Pani Anna doznała złamania obojczyka. Pan Wojciech usiłował dobić ranną nożem, ale na szczęście, znalazła ratowników i obrońców.

Pan Wojtek po raz kolejny przeżywał hańbę porażki i rejterady. Znów zamknął się w mieszkaniu i znów bezskutecznie zaciskał dłonie na kablu wetkniętym do gniazdka. Wreszcie wybiegł z tym kablem na balkon, przywiązał jeden jego koniec do kraty, drugi z pętlą zacisnął na szyi, przełożył nogi przez poręcz i... skoczył.

Pech prześladowca nie opuścił go jednak i w takiej chwili. Pętla, na której pan Wojtek myślał, że zadynda, sprawiając światu niesłychaną przykrość, skręcona była po partacku. Ciałem niedoszłego wisielca szarpnęło, lecz zamiast dławiącego ucisku gardła pan Wojciech poczuł, że szybuje ruchem jednostajnie przyspieszonym ku ziemi. Trwało to niejaki moment, jako że od rodzicielki i karmicielki naszej dzieliło go aż osiem pięter, ale wreszcie musiał przekonać się osobiście, na czym polega trzecie prawo dynamiki. To o jakiejś akcji i reakcji!

Tutaj Szanowni Czytelnicy muszę Was rozczarować. Nie było to wcale ostatnie życiowe doświadczenie pana Wojtka. Upadek z ogromnej wysokości uparty samobójca okupił zwichniętą w kostce nogą. Nie na darmo gadają ludziska, że prawdziwa namiętność silniejsza nawet od śmierci.

AKP

WYBRAŁ ŚMIERĆ

W południe, 19 marca, Włodzimierz Żbikowski ukryty w nieczynnej stalowni martenowskiej huty Sędzimira kończył 14-stronicowy list, adresowany do krakowskiej policji. „Nie jestem pijany, ale nie jestem też trzeźwy. Wszystko co napisałem, jest prawdą. Dzwoni zegarek, czas na mnie. To są ostatnie słowa. Żegnam!"

Pociągnął tęgi łyk ekstra-żytniej z prawie pustej już butelki, złożył kartki i wsunął do papeterii w kolorowe motylki. Barwny nadruk na kopercie zdał mu się nagle dysonansem wobec zawartości oraz tego, co uczynił i co jeszcze zamierzał uczynić, dopisał zatem na niej: „Przepraszam, ale nie miałem innej". Następnie wdrapał się na 80-metrowy komin i skoczył...

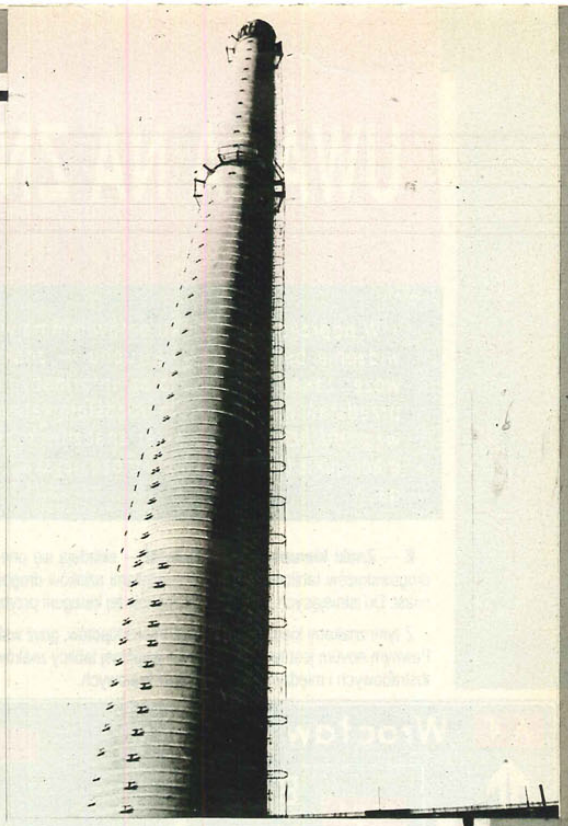

— Ciało padając uderzyło o krawędź stojącego niżej budynku — opowiada podkomisarz Jan Salasa z KRP Kraków-Wschód. — Widok straszny. Zmiażdżony tułów zatrzymał się na dachu, jedna noga, wyrwana potworną siłą uderzenia spadła aż na ziemię. Z ustaleniem tożsamości denata poszło nam gładko. Miał w kieszeni dowód osobisty oraz dwa listy pożegnalne. Do policji i do rodziny.

„Na parkingu przed bramą główną huty stoi samochód, popielaty fiat 125p — napisał Żbikowski. — Nr rej. KWC..., za tylną szybą kwiaty. Klucze od tego samochodu powinny być u mnie w kieszeni kurtki. W bagażniku macie robotę. Paskudną! Wszystko jest na miejscu, (dokumenty) prócz narzędzia. Tego nie szukajcie, bo to naprawdę daremny trud".

— Znaleźliśmy ten samochód od razu — wspomina st. sierż. Tadeusz Krawczyk — Stał, jakby na urągowisko za znakiem zakazującym postoju. Bagażnik był nie zamknięty, miał zepsuty zamek. Wewnątrz leżały zwłoki kobiety. Częściowo obnażone, z reklamówką naciągniętą na głowę i podwiązaną pod szyją. Personalia zmarłej poznaliśmy dzięki informacjom zawartym w listach samobójcy. Sekcja wykazała, że 34-letnia Barbara Kowaluk, mieszkanka M. zginęła od wielokrotnych uderzeń narzędzia tępego lub tępokrawędziastego, które pogruchotało kości czaszki. Narzędzia zbrodni, tak jak napisał jej sprawca, dotąd nie odnaleźliśmy ani nie określiliśmy. Może była to łyżka samochodowa?...

„Kochałem tę kobietę do szaleństwa i dlatego zabiłem — usiłuje tłumaczyć swój uczynek Żbikowski. — Motyw — nie mogłem pogodzić się z tym, że ONA może być z kimś innym i że nie mamy możliwości żyć i być razem. Zabójstwo nastąpiło 11.03.1993 r. o godzinie 23.30 w miejscu tylko mnie wiadomym, po czym cały czas ciało było w samochodzie. Przejechałem z NIĄ ponad 2600 kilometrów, według licznika, będąc życzliwym i miłym dla okazjowiczów. Gdyby oni wiedzieli, w jakim towarzystwie podróżują..."

Barbara Kowaluk była młodzieńczą miłością Włodzimierza Żbikowskiego. Miłością nie jedyną, ale z pewnością najgłębszą, najbardziej namiętną. Jednak niespokojna natura Włodzimierza i jego skłonność do ryzykanctwa pokrzyżowały ich pierwotne plany. Za kradzieże zwykłe i z włamaniem, wreszcie za ciężkie pobicie człowieka trafił za kratki. Raz, potem drugi, trzeci, czwarty, piąty... Podczas którejś z tych odsiadek Barbara znalazła innego partnera i zawarła małżeństwo. On, kiedy wyszedł z więzienia także się ożenił. Oboje nie wytrzymali długo w oficjalnych związkach. On po kilkunastu latach porzucił żonę i dziecko. Ona rozwiodła się. Wtedy odszukali się i zamieszkali wspólnie.

Ci, którzy ich znali, twierdzą, iż stanowili zgodną parę. Włodzimierz, choć nie stronił od alkoholu, a nawet za przejażdżkę „po pijaku" stracił prawo jazdy, nie nadużywał trunków. W otoczeniu mimo kryminalnej przeszłości pragnął uchodzić za człowieka z klasą i nieźle mu się to udawało. Schludny, elokwentny (pozostawione listy dowodzą, iż posługiwał się językiem plastycznym, wręcz literackim) umiał się znaleźć w każdym towarzystwie. Tylko w sferze erotyki wykazywał pewne dziwactwo. Fotografował mianowicie Barbarę w najintymniejszych momentach, a potem bez cienia zażenowania pokazywał te zdjęcia znajomym. To nienasycone pożądanie tej kobiety pozostało w nim nawet po jej śmierci. „Ja ją cały czas kocham, chociaż wiem, że jej już nie ma".

Policjantów zaangażowanych w wyjaśnianie okoliczności owej ponurej zbrodni zastanawiało, dlaczego Żbikowski zgładził tak uwielbianą kobietę. Rzecz wyjawiła się szybko. Otóż Barbara zamierzała powrócić do byłego męża, po to, by w mieszkaniu odziedziczonym przezeń po matce, ulokować córkę. Perspektywa odejścia ukochanej wstrząsnęła Żbikowskim. Wolał śmierć jej i własną niż takie poniżenie.

— Do dziś nie wiadomo — mówi prokurator Eugeniusz Wolnik z Prokuratury Rejonowej Kraków-Nowa Huta — gdzie Żbikowski spełnił swój zbrodniczy zamysł i czym oraz jakimi trasami przez cały tydzień podróżował ze zwłokami konkubiny. On sam mnoży w swoich listach łamigłówki, z którymi nie potrafimy się uporać. Poza tym są te listy wstrząsającym świadectwem jego stanu ducha, narastającej desperacji i złości do świata. Żbikowski wie, że każde napisane zdanie przybliża go do śmierci. Gniew i wypity alkohol utwierdzają wolę samobójstwa, głuszą instynkt samozachowawczy.

„Wysokość komina daje mi rękojmię powodzenia tego, co chcę osiągnąć. Z NIĄ poszło szybko, ale ja sam nie mogłem zdobyć się na to, aby iść za nią. Nie mogłem zdecydować się na ten ostateczny krok, mimo że pod tym kominem byłem kilkakrotnie. Ale żyć też nie mogłem i dlatego późno — ale jednak — ten list i ten skok."

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. KRP Kraków-Wschód

PS Personalia samobójcy i jego ofiary zmieniono.

UWAGA NA ZNAKI Cz. II

W poprzednim odcinku omówiłem najważniejsze — z punktu widzenia bezpieczeństwa ruchu — znaki drogowe: ostrzegawcze, zakazu, nakazu oraz informacyjne. W tym chciałbym przedstawić Czytelnikom pozostałe kategorie znaków, które ze względu na swój charakter znacznie rozszerzają zakres informacji, jakie uczestnik ruchu może uzyskać, poruszając się po drogach

E — Znaki kierunku i miejscowości — składają się one z tablic przeddrogowskazowych, drogowskazów tablicowych, tablic z nazwami szlaków drogowych, miejscowości oraz dzielnic miast. Do istniejących wcześniej 37 znaków tej kategorii przybyło 15 nowych.

Z tymi znakami kierowcy nigdy nie mieli kłopotów, gdyż wskazywały one zawsze tylko drogę. Pewnym novum jest teraz łączenie na wspólnej tablicy znaków zielonych i niebieskich, czyli autostradowych i międzynarodowych oraz krajowych.

E—1a

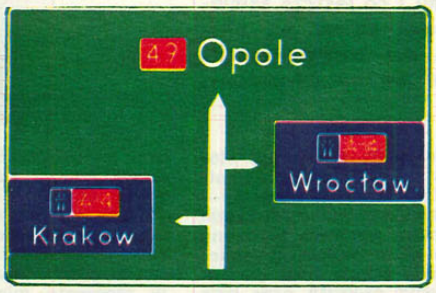

E-1b

E—1a — „tablica przeddrogowskazowa na autostradzie"
E—1b — „tablica przeddrogowskazowa przed wjazdem na autostradę"

Wprowadzono cztery nowe drogowskazy tablicowe, dotyczące autostrad:

E-2c

E—2c — „drogowskaz tablicowy umieszczany obok jezdni na autostradzie"

E-2d

E—2d — „drogowskaz tablicowy umieszczany nad jezdnią na autostradzie"

E-2e

E—2e — „drogowskaz tablicowy umieszczany obok jezdni przed wjazdem na autostradę"

E—2f — „drogowskaz tablicowy umieszczany nad jezdnią przed wjazdem na autostradę"

E-2f

E-6a

E-6b

...oraz trzy drogowskazy do obiektów komunikacyjnych: stacji PKP, dworca PKP i przystani promowej.

E-6c

Odległość do głównych miejscowości położonych przy danej drodze lub odległość do centrum miasta określa znany dobrze wszystkim kierowcom zielony znak **E—13** — „tablica kierunkowa". Teraz napotkamy w podróży również znak **E—13a — „tablica kierunkowa z jedną nazwą miejscowości"** i **E—13b — „tablica kierunkowa do centrum miasta"**. Tabliczki te mogą być umieszczane także po lewej stronie jezdni.

E-13a

E-13b

E-14a

Odległości do głównych miejscowości położonych przy danym szlaku drogowym określa znak **E—14** — „tablica szlaku drogowego". Do tego znaku przybył obecnie nowy: **E—14a — „tablica szlaku drogowego na autostradzie"**

oraz **E—15c — „znak szlaku drogowego z numerem autostrady"**

E-15c

Nowymi znakami są także:

E-21

— „tablica dzielnicy miasta"

E-22

— „obwodnica"

F — Znaki uzupełniające — zawierają informacje ułatwiające uczestnikom ruchu orientację w terenie. Dotychczasowy zestaw tych znaków, liczący 27 symboli, wzbogacono o 10 nowych.

F-3a

— „granica miasta i gminy"

F-3b

— „granica między miastami"

O niebezpieczeństwie uprzedza nas znak **F—6a** stawiany przed skrzyżowaniem.

F-6a

Nowymi znakami uzupełniającymi, które określają kierunki na pasach ruchu lub ich sposób wykorzystania, są:

F-10a

F-10b

F-10c

F—10a — „znak wskazujący przeciwny kierunek na lewym pasie ruchu"
F—10b — „znak wskazujący przeciwny kierunek na pozostałych pasach ruchu"
F—10c — „znak wskazujący koniec wewnętrznego pasa ruchu na jezdni dwukierunkowej"

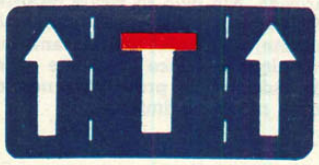

F-10g

— „znak wskazujący koniec wewnętrznego pasa ruchu na jezdni jednokierunkowej".

F-10d

F-10e

F-10f

F—10d — „znak wskazujący przeciwny kierunek dla autobusów na lewym pasie ruchu"

F—10e — „znak wskazujący przeciwny kierunek dla karetek pogotowia na lewym pasie ruchu"

F—10f — „znak wskazujący przeciwny kierunek dla pojazdów straży pożarnej na lewym pasie ruchu"

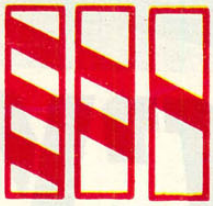

G-1d G-1e G-1f

G — Znaki dodatkowe przed przejazdami kolejowymi — informują o zbliżaniu się do przejazdu kolejowego i nakazują zachowanie szczególnej ostrożności. Do 6 istniejących już wcześniej znaków z tej kategorii wprowadzono 3 nowe. Są to słupki wskaźnikowe:

Znak **G—1d** umieszcza się w odległości 150—300 m od przejazdu, znak **G—1e** — w odległości 100—200 m, natomiast znak **G—1f** — 50—100 m przed przejazdem.

H — Tabliczki do znaków drogowych — uzupełniają informacje zawarte na tablicach znaków drogowych. Są najczęściej koloru żółtego. Z nimi też występują, komunikując kierowców m. in. o tym, czego mogą się spodziewać na drodze i w którym miejscu, gdzie i w jaki sposób parkować, by nie utrudniać życia innym użytkownikom dróg, które miejsca są szczególnie zagrożone wypadkami itp. Liczba tych tabliczek wzrosła obficie, aż o 25. W sumie mamy ich obecnie 53.

H-1a

— tabliczka wskazująca odległość znaku informacyjnego od końca lub początku drogi albo pasa ruchu wskazanego na znaku

H-6a

H-6b

H-6c

— tabliczki **H—6a**, **H—6b** i **H—6c** wskazują zmianę przebiegu drogi lub ruchu.

H-15a

— tabliczka podająca przebieg drogi z pierwszeństwem przejazdu na skrzyżowaniu, umieszczana na drodze z pierwszeństwem

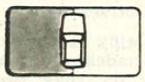

H—16h

Do siedmiu już istniejących tabliczek, określających sposób parkowania, dodano jeszcze tabliczkę **H-16h**, która wyznacza postój kołami jednego boku pojazdu na chodniku równolegle do krawężnika.

H-17a

— oznacza koniec odcinka, na którym występuje niebezpieczeństwo.

O układzie torów i drogi na przejeździe kolejowym informuje nas tabliczka **H—19**

H—19

Tabliczka **H—20** określa pas ruchu skierowany na tory tramwajowe.

H—20

H—21

Nowymi tabliczkami są również **H—21** z napisem informująca o nierównej nawierzchni,

oraz

H—22 z napisem, wskazująca miejsce, w którym droga przecina granicę Państwa.

H—22

Wśród nowych tabliczek znalazło się 5, informujących o miejscach niebezpiecznych, w których często zdarzają się wypadki drogowe: potrącenia pieszych **(H—23a)**, zderzenia z poprzedzającym pojazdem **(H—23b)**, z tramwajami **(H—23c)**, na przejazdach kolejowych **(H—23d)** oraz spowodowane śliską nawierzchnią **(H—23e)**:

H-23a

H-23b

H-23c

H-23d

H-23e

H-24a

O miejscach, w których nagle może pojawić się wóz operacyjny straży pożarnej lub karetka pogotowia, uprzedzają nas znaki:

H-24b

10 nowych tabliczek uzupełniających znaki drogowe informuje o pojazdach, które możemy napotkać, jadąc tą właśnie drogą. Do rozszyfrowania siedmiu z nich nie potrzeba żadnych dodatkowych wyjaśnień, gdyż z umieszczonego na tabliczce rysunku jasno wynika, o jaki pojazd chodzi.

H-25a

H-25b

H-25c

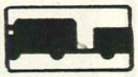

H-25d

H-25e

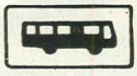

H-25h

H-25i

Trzy pozostałe nie są już tak jednoznaczne:

H-25f

H-25g

H-25j

H—25f — informuje o pojazdach z materiałami wybuchowymi lub łatwopalnymi.

H—25g — informuje o pojazdach z materiałami, które mogą skazić wodę.

H—25i — informuje o pojazdach z materiałami niebezpiecznymi, oznakowanych tablicami ostrzegawczymi barwy pomarańczowej.

Nowe rozporządzenie o znakach i sygnałach drogowych rozszerza również gamę „rysunków na jezdniach", czyli znaków drogowych poziomych. Jest to stosunkowo nowy rodzaj znakowania dróg, który w Europie rozpowszechnił się dopiero po II wojnie światowej. Znaki te w bardzo dużym stopniu ułatwiają kierowanie pojazdami, zwłaszcza w trudnych warunkach widoczności, np. w czasie mgły. „Prowadzą" one kierowcę po określonych pasach ruchu lub przeznaczonej dla niego połowie jezdni, precyzując jakby przepisy ruchu drogowego. Stosowane w naszym kraju, są koloru białego, w innych państwach — koloru żółtego i niebieskiego.

Najczęściej znaki te występują w postaci linii ciągłych lub przerywanych, pojedynczych lub podwójnych, a także w postaci strzałek, napisów i symboli. Są one jednak tak jasne i komunikatywne, że ich reprodukowanie wydaje mi się zbyteczne.

Do istniejących już 16 „malowanek na jezdni" dołączono 20 nowych. Nie „rewolucjonizują" one, na szczęście, ustalonych zasad ruchu drogowego.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Jak mi powiedział insp. Jerzy Nawojski, naczelnik wydziału w Biurze Ruchu Drogowego KGP, kierowców nikt nie będzie egzaminował ze znajomości nowych znaków i sygnałów drogowych. Jednak nieprzestrzeganie ich będzie karane, tak jak za inne wykroczenia, stosownie do wywołanego zagrożenia. A więc wszyscy zmotoryzowani, we własnym interesie, powinni zapoznać się z nowym rozporządzeniem ministra transportu i gospodarki morskiej, które opublikowane zostało w **32 numerze Dziennika Ustaw z 28 kwietnia br**.

JERZY PACIORKOWSKI

W oknach domów płoną światła. Ludzie siedzą wygodnie w fotelach, oglądając wieczorny seans filmowy. Pozorny spokój. Mimo że do pierwszego jest jeszcze kilka dni, na zaspokojenie pragnienia rodakom jakoś nie brakuje pieniędzy.

Pierwsi goście gdańskiej izby wytrzeźwień zjeżdżają już po południu.

TRUNKOLUBCY

— Ale za co, panowie? — krzyczy mamuśka, która wieszając się na ramieniu opartego o radiowóz męża stara się chwycić policjanta za kurtkę. — Przecież wypiliśmy tylko pół litra.

— Chyba wolno nam odwiedzić syna — wtóruje mąż pijanej damy.

Ostatnie słowa zagłusza kaszel młodzieńca kiwającego się na izbowej kozetce.

— Bez wódki, jak niegdyś, niczego się nie załatwi. Teraz jednak nie tyle chodzi o dobra materialne, co o wyrobienie sobie lepszych układów. Ale żeby do czegoś dojść, trzeba mieć mocną głowę...

— Wódkę kupiłem nie dla siebie. Mam w mieszkaniu remont i pracującym zabrakło motywacji do zakończenia roboty...

— Kiedyś to mogłem nawet wypić bez okazji. Trzeba się jednak ustatkować, nie? A że dzisiaj jest okazja... (śmiech)

— Chcę jeszcze swoje wypić, dopóki wódka nie zdrożeje... (śmiech)

— Dziennie gościmy przeciętnie około 40 osób. Pobyt w skromnych pomieszczeniach (izba mieści się w baraku) kosztuje 742 tysiące złotych, mniej więcej tyle, ile miejsce w „Heweliuszu", jednym z naszych najlepszych hoteli.

— Jak jest z płaceniem należności przez opuszczających ten przybytek?

— Nie jest z tym najlepiej. Przeciętnie waha się w granicach 40 proc., co powoduje, że musimy korzystać z pomocy finansowej miasta.

Pracujący w gdańskiej izbie lekarze nie ograniczają się jedynie do przyjmowania pijanych, kontrolowania ich stanu zdrowia, układania na białych poduszkach i przykrywania ciepłą kołderką. Powołano tu do życia studium pomocy psychologicznej dla uzależnionych. W pomieszczeniach izby, w godzinach, gdy nie zjechali pierwsi delikwenci, działa klub anonimowych alkoholików.

— Chcemy pomóc tym, którzy nie potrafią sobie pomóc z tą chorobą — mówi A.N. — Dlaczego właśnie w tym miejscu? Jednym z powodów jest „atmosfera" tych pomieszczeń, w których ranne przebudzenie nie wszystkich wystarczająco otrzeźwia.

Przed izbę zajeżdża kolejny radiowóz, szamocze się przywieziony dziadek, który wcześniej zrzucił z nóg buty na znak protestu przeciw zabraniu go z domowych pieleszy.

— Komuniści się bawili i kradli. Nowa władza kłóci się między sobą i też kradnie. Za komuny się piło i teraz też nie proponuje się narodowi niczego nowego...

— Kiedyś stać mnie było na więcej. Uwierzyłem draniom i teraz stać mnie tylko na ćwiartkę. Dlaczego mam odbierać sobie tę ostatnią przyjemność?...

* * *

W warszawskiej izbie wytrzeźwień przy ul. Kolskiej trwa remont. Mimo to codziennie izba może przyjąć 70 pacjentów, którzy zgubili drogę do domu. Dziennie bywa w niej od 20 do 60 delikwentów. Według słów dyrektora kobiety stanowią w tym gronie niewielki procent.

W przeciwieństwie do gdańskiego, warszawski przybytek może zaproponować podopiecznym trzydniową detoksykację, czyli inaczej mówiąc odtrucie organizmu. 7 kwietnia na oddziale przebywa siedmiu pacjentów, którzy chcą wrócić do normalności za 1 400 tysięcy opłaty za 3-dniową kurację.

Wypłacalność przywiezionych do izby na Kolską ludzi, podobnie jak w Gdańsku jest niewielka. Dziś Polakowi starczy jeszcze na butelkę. Co stanie się po jej wypiciu, nikogo przeważnie już nie obchodzi, choć cena za

„nocleg", jak w przypadku Gdańska może pogłębić poranny kac i wynikający z niego stres.

— Dobrze mi dzisiaj poszło. Otrzymałem w zakładzie nagrodę. Trzeba to oblać...

— Kupuję wódkę, bo ta zawsze się w domu przyda...

— Nie kupuję wódek. Te dzisiaj produkują z proszku. Wierzę tylko w spirytus...

— Co sobie będę żałował? Życie jest krótkie...

Przywożeni wieczorem na tzw. Kolec delikwenci rozglądają się dokoła mętnym wzrokiem. Jedni są spokojni, zrezygnowani. Inni napędzani ostatnimi kroplami „paliwa" próbują jeszcze walczyć z policjantami czy też próbującymi ich rozebrać sanitariuszami.

— Czy kobiety bardziej nerwowo reagują na fakt umieszczenia?

— Jak już wspomniał dyrektor, trafia ich do nas niewiele — mówi jeden z sanitariuszy. — Zdarzyło się jednak, że przywieziona pacjentka ukryła w ustach żyletkę i tylko dzięki czujności policjantów i lekarza dyżurnego udało się ją odebrać. Innej odebraliśmy kawałek szkła, który również ukryła w ustach. Mimo to koniecznie chciała się samookaleczyć i zaczęła trzeć ramieniem o kant siatki chroniącej kaloryfer.

Do izby wprowadzają nieźle zbudowanego młodzieńca, którego gwałtowne ruchy z trudem utrzymuje dwóch równie postawnych funkcjonariuszy.

— Niech tylko stąd wyjdę, to was jak psy powywieszam. Wszyscy, wszyscy jesteście psy i k...

Nad ranem co bardziej wypoczęci naciągają na siebie ubrania i chyłkiem mkną do autobusu, być może zastanawiając się, co powiedzą czekającej na nich w nerwach połowicy.

Ci, którzy jeszcze nie wydostali się z oparów wczorajszego alkoholu, szukają po kieszeniach resztek pieniędzy przeliczając, czy starczy na poranne piwo.

— W kulturalnym towarzystwie zawsze można trochę łyknąć. Nie słyszałem jeszcze, by wódka komuś zaszkodziła...

PAWEŁ SZLACHETKO
warszawskie zdjęcia
TOMASZ SZACHOWSKI

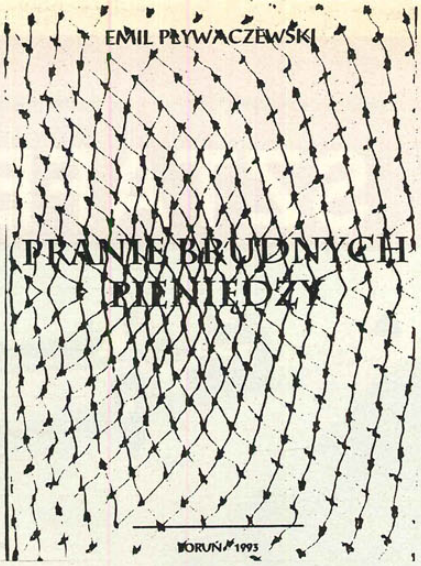

Ukazała się bardzo potrzebna, pierwsza polska książka poświęcona nowemu zjawisku kryminologicznemu, jakim jest pranie pieniędzy. Podkreślił to autor przedmowy prof. dr Gunther Arzt z Uniwersytetu w Bernie, światowy autorytet w tej dziedzinie. Zacytujmy jego istotne spostrzeżenia: „Do ujemnych stron wielkich przemian politycznych w Europie trzeba zaliczyć nowe formy przestępczości. Toteż jest szczególnie korzystne, iż w tej pracy we właściwym czasie nastąpiło opisanie zjawiska „prania brudnych pieniędzy". Umożliwia to bowiem wzmocnienie bądź rozwinięcie niezbędnego instrumentarium prawnego zwalczania tej nowej przestępczości także w Polsce. Żadne inne przestępstwo nie wymaga tak wiele współpracy, jak „pranie brudnych pieniędzy". Kooperacja jest potrzebna w obrębie Europy oraz — jak dowodzą wysiłki ONZ — w skali światowej. Odpowiednia współpraca powinna jednak także mieć miejsce między specjalistami na obszarze prawa bankowego i prawa karnego. Z tego też względu jest ze wszech miar godne podkreślenia, że niniejsza książka jest również oznaką współpracy, właśnie na płaszczyźnie naukowej."

Profesor dr hab. Emil Pływaczewski jest niewątpliwie najwybitniejszym polskim autorytetem w zakresie znajomości prania pieniędzy oraz możliwości przeciwdziałania temu zjawisku.

W rozdziale pierwszym autor omawia pranie brudnych pieniędzy jako ostateczny cel przestępczości zorganizowanej. Charakteryzuje przestępczość zorganizowaną, cechy sprawców, ich „technologię" działania, konspirację, mobilność, międzynarodowość itd. Przytacza także dochody niektórych gangów uzyskiwane z handlu narkotykami na świecie i sumy, które poddają czyszczeniu.

Po raz pierwszy w literaturze polskiej omówiona została tak wszechstronnie definicja oraz główne fazy prania pieniędzy, a także problemy prawno-karne w ustawodawstwie i dokumentach międzynarodowych. Formy zjawiskowe i techniczno-organizacyjne aspekty prania pieniędzy to wręcz sensacyjna literatura zarówno dla policjantów, jak i dla bankowców.

Z kolei ustawowy model przeciwdziałania praniu pieniędzy autor omawia na przykładzie Szwajcarii, w której przebywał na zaproszenie renomowanych fundacji zachodnich.

Zakończenie poświęcone jest najważniejszym inicjatywom międzynarodowym mającym na celu zapobieganie praniu pieniędzy oraz innym formom nadużywania systemu finansowego, a także zawiera rozwiązania projektowane w polskim ustawodawstwie.

JERZY W. WÓJCIK

Emil Pływaczewski: *Pranie brudnych pieniędzy. Możliwości przeciwdziałania*, Toruń 1993, s. 186.

SZTAFETA POLICJANTÓW

Wielkie było zdziwienie „bramkarzy" KGP, gdy przyszedłem do pracy o 3.30 rano w niedzielę i pięć minut później wychodziłem taszcząc przed sobą ogromną butlę z gazem.

A przed komendą czekał na mnie autokar z bazy transportowej, którym wyruszyć miałem na trasę Sztafety Olimpijskiej Policji Polskiej.

Z południowej części kraju bieg odbywał się w kierunku Warszawy: z Bielska-Białej przez Kraków, Katowice, Częstochowę i Piotrków Trybunalski. Potem — trasa odbiła na Łódź i dalej do Sieradza, Konina, Włocławka, Płocka i Ciechanowa. Ceremonia otwarcia IV Ogólnopolskiej Olimpiady Specjalnej odbyła się 14 maja na Torwarze, a policyjna sztafeta miała przenieść na tę właśnie inaugurację ogień olimpijski od południowej granicy państwa.

I jeszcze musieliśmy tak wymierzyć, aby ogień dotarł na Torwar między godziną 19.02 a 19.08, bo takie są wymagania telewizji, która transmitowała otwarcie igrzysk.

Zanim wyjechaliśmy z Warszawy, musieliśmy jeszcze wpaść na Bemowo po prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Olimpiady Specjalnej" dr. Jerzego Tyczyńskiego. Prezes stwierdził, że musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Stąd — w autokarze różne rodzaje paliw i pochodni.

Ze stadionu w Wapienicy ruszyła o godzinie dziesiątej sztafeta. Rozpoczęli ją policjanci bielscy dowodzeni przez podkomisarza Ireneusza Iwanka z Wydziału Prewencji KWP.

Na stadionie w Wapienicy obok publiczności są również: zastępca dyrektora Biura Prewencji KGP nadkom. Michał Otrębski oraz komendant wojewódzki Policji w Bielsku-Białej. Są lokalne władze. Wszyscy obserwują, jak policjanci bielscy rozpoczynają bieg olimpijski, po raz pierwszy w Polsce!

W Bielsku-Białej słońce i upał. W autobusie trudno wytrzymać. A biegnącym po rozgrzanym asfalcie? Lepiej nie mówić.

Ekipa bielska ma do przebiegnięcia 75 kilometrów, do granicy z województwem krakowskim. Przez Andrychów, Wadowice i Kalwarię Zebrzydowską. Po drodze, w małych miejscowościach, na krótkie odcinki włączają się do biegu dzieci ze szkół, często także ich nauczyciele i opiekunowie. W większych ośrodkach na trasie gromadzi się publiczność. Dopinguje, klaszcze, zagrzewa do biegu.

Tak mija sześć godzin z policjantami z Bielska-Białej. W miejscowości Biertowice czeka reprezentacja KWP Kraków pod kierownictwem kom. Mariana Zawartki.

Przez całą drogę towarzyszy nam ten sam widok. Radiowóz-pilot błyskając światłami prowadzi kolumnę i chroni z przodu. Od czasu do czasu pogwizduje sygnałami dźwiękowymi, szczególnie urozmaicony repertuar mają volkswageny passaty.

Zaraz za pilotem, często zbyt blisko, biegnie policjant z pochodnią. My widzimy tylko jego plecy.

— Zmiana! — woła kierowca, który obserwuje na liczniku przebieg kilometrów. Grupy umawiają się — zmiana co jeden, dwa albo trzy kilometry. Albo po prostu — jak ktoś się zmęczy, to podnosi rękę.

Nie obeszło się bez niespodzianek. Zabijak — granica województwa katowickiego i częstochowskiego. Dwa najgorsze dni — ziąb i deszcze. Grupa katowicka narzuciła ostre tempo. W efekcie — jesteśmy w Zabijaku wcześniej niż planowano. Stoimy więc i mokniemy. Ktoś próbuje skontaktować się przez radiostację z KWP w Częstochowie. Bezskutecznie. Wreszcie — za dziesięć dwunasta na horyzoncie pokazują się dwa passaty na sygnale. Wygląda to na jakiś pościg. Kierowcy volkswagena, policjanci z drogówki zrównując się z nami wykonują z miażdżącą doskonałością manewr szybkiego hamowania i zwrot w naszym kierunku. Przepraszają za spóźnienie. To przybyła część reprezentacji częstochowskiej. Reszta została w autobusie, który popsuł się w okolicy miejscowości Koziegłowy.

Pan Tadeusz po raz kolejny patrzy z satysfakcją na swojego niezawodnego jelcza PR 110.

Biegną z nami różni ludzie. Niektórzy są młodzi, specjalnie wybrani z oddziałów prewencji, często z grup antyterrorystycznych. Są też inni, starsi, reprezentujący wszystkie lub prawie wszystkie piony policyjne.

W województwie piotrkowskim biegł z nami chłopak, Czarek, który rok temu zakończył zastępczą służbę wojskową w oddziale prewencji Policji. Chce zostać policjantem, ale nie ma dla niego etatu w Piotrkowie, gdzie mieszka. Świetny sportowiec — przebiegł sam około 40 kilometrów.

W Sieradzkiem brał udział w biegu emerytowany policjant, pan Jurek, znany w całym województwie maratończyk-amator. On również przebiegł sam prawie tyle, ile wszyscy policjanci z Sieradzkiego łącznie.

Również w Sieradzkiem, jednym z biorących udział w sztafecie policjantów okazał się sam Edward Sarul — mistrz świata w pchnięciu kulą. On też zapalił znicz na rynku w Sieradzu.

Ogień olimpijski chroniony w lampce górniczej „metanówce" przekazują sobie z województwa do województwa naczelnicy wydziałów prewencji lub komendanci wojewódzcy. Ale w Katowicach bieg kończył symbolicznie i rozpoczynał nazajutrz przed gmachem komendy wojewódzkiej — podinsp. Ryszard Mastalerz.

I zawsze ten sam problem przed metą — żeby pochodnia nie zgasła w najważniejszym momencie — przed zapaleniem znicza, na oczach publiczności. Na to jest jedna rada. Gdy przed centralnym punktem miasta na trasie sztafety wybiegają wszyscy uczestnicy, aby w grupie dobiec do końca etapu — jeden musi mieć przy sobie zapalniczkę — ot, proza życia.

I wreszcie — ostatni etap. Jest z nami grupa pracowników dydaktycznych z CSP w Legionowie pod wodzą podinspektora Jacka Hachulskiego — policjanta, sportowca, który reprezentował polską Policję na podobnym biegu zorganizowanym przed Olimpiadą Specjalną, która odbyła się w Austrii.

Oprócz nich — jedenastoosobowa grupa policjantów ze Stołecznego Oddziału Prewencji.

Ostatnie chwile przed wyruszeniem. Hachulski, który był dziś na próbie generalnej instruuje wszystkich, jak ma wyglądać wbiegnięcie na Torwar i zapalenie znicza.

— Ja biegnę pierwszy i trzymam pochodnię. Za mną wy — dwójkami — ustala. — Kiedy wbiegamy do tunelu, zaczynam podawać komendę „lewa". W tym momencie wszyscy klaszczą w dłonie. I tak już cały czas: na moje „lewa" wszyscy klaszczą. Jasne?

Kto nie był na Torwarze i nie widział transmisji telewizyjnej, niech żałuje. Styl, w jakim policjanci zakończyli swój bieg z pochodnią wzbudził niekłamany entuzjazm wszystkich zgromadzonych.

CEZARY WOLIŃSKI
zdj. autor

PS Nie wymieniłem w tym tekście wielu ludzi, którym się to należy i nie wspomniałem wielu sytuacji, choć na to zasłużyły. Po prostu — musiałem wybierać. Gdybym bowiem chciał opisać całą dwutygodniową sztafetę, musiałbym poświęcić na to o wiele więcej miejsca.

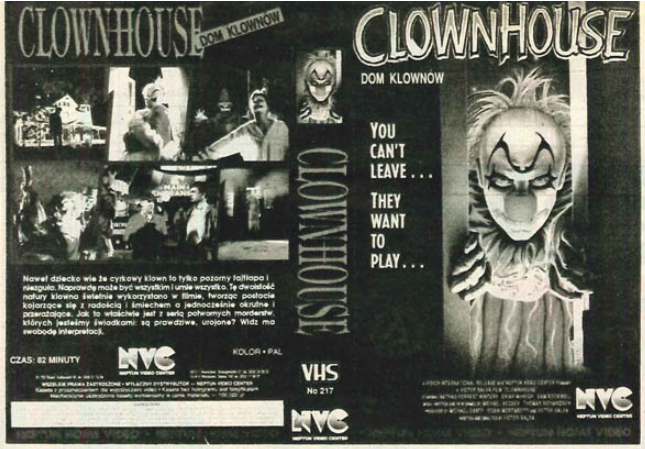

NVC
NEPTUN VIDEO CENTER
VIDEOKONKURS 7

WIĘZIENNE PIEKŁO

Wyst. Lori Jo Hendrix, Rebecca Chambers, Reż. Joel Silberg

Film brutalny, pełen ludzkich cierpień i upokorzeń. Jego akcja toczy się w kobiecym więzieniu. Początkowo bohaterki walczą o swoją godność i wolność. Po pewnym czasie główną stawką w tej morderczej rozgrywce zaczyna być ich własne życie. Film dla ludzi o mocnych nerwach.

HOLOCAUST

Wyst. James Woods, Meryl Streep, Michael Moriarty, Reż. Martin Chomsky

W czasie kiedy Hitler realizuje plan eksterminacji ponad sześciu milionów Żydów, w nazistowskich Niemczech próbują uniknąć śmierci dwie żydowskie rodziny. Walcząc o przetrwanie piekła rodzina Weissów przeżywa tragedie i triumfy. „Holocaust" to jeden z najbardziej szokujących dramatów ostatnich lat.

CLOWNHOUSE — horror

Wyst. Nathan Forrest, Brian McHugh, Reż. Victor Salva

Nawet dziecko wie, że cyrkowy clown to tylko z pozoru fajtłapa i niezguła. Naprawdę zaś umie wszystko. Tę dwoistość natury świetnie wykorzystano w filmie, tworząc postacie kojarzące się ze śmiechem i radością, a jednocześnie okrutne i przerażające.

PANGA — horror

Wyst. Jenilee Harrison, Christopher Lee, Reż. Sean Barton

Akcja toczy się w Afryce. Młoda pielęgniarka, żona amerykańskiego farmera nie dopuszcza do złożenia krwawej ofiary. Ingerencja dziewczyny w plemienne obyczaje powoduje zemstę szamana. Elizabeth i jej dziecko stają się ofiarami klątwy.

SIDEKICKS — przyg.

Wyst. Chuck Norris, Jonathan Brandis, Beau Bridges, Reż. Lou Illar

W tym filmie każdy znajdzie coś dla siebie, bo prezentowane są w nim sztuki walki w najlepszym stylu, romans nastolatków, sceny komediowe i nieograniczona fantazja. Doskonały zespół aktorów gwarantuje wykonanie całości na najwyższym poziomie.

MR NORTH — obycz.

Wyst. Anjelica Huston, Anthony Edwards, Robert Mitchum, Reż. Danny Huston

W ekstrawagancki, lecz dekadencki świat arystokracji Newport roku 1926 wkracza nadzwyczajny młody człowiek, Theophilus North. W poszukiwaniu wielkich przygód pozostaje w przyjaźni ze społecznością panów, ale i wiąże się ze społecznością sług, a są to grupy, które dzieli przepaść. Człowiek o niezwykłych zaletach i umiejętnościach elektromagnetycznych wkrótce skupia na sobie uwagę całego miasta. Co z tego wyniknie? To koniecznie trzeba obejrzeć.

W „Videokonkursie" nr 5 zwyciężyli: Grzegorz Sawicki — Białystok, Andrzej Kolbik — Gorzów Wlkp., Stanisława Ryś — Wrocław, Andrzej Ordon — Warszawa, Mirosław Jagielski — Szczecin, Alina Wojtaniec — Bydgoszcz. Gratulujemy.

Uwaga! Po przyklejeniu do karty pocztowej znaczka z napisem „Videokonkurs" nr 7 należy nadesłać ją pod adresem redakcji w terminie nie późniejszym niż dwa tygodnie od daty ukazania się numeru. Wśród zwycięzców zostaną rozlosowane kasety z licencjonowanymi filmami video.

PaS

NINIEJSZA RUBRYKA JEST SPONSOROWANA PRZEZ FIRMĘ NEPTUN VIDEO CENTER (Sopot, ul. Kościuszki 42, Warszawa, ul. Saska 100), DYSTRYBUTORA LICENCJONOWANYCH KASET NA CAŁY KRAJ.

SAMO ŻYCIE

ZAGRANICZNI OSZUŚCI

W coraz szybszym tempie, jak zapewniają środki masowego przekazu, zmierzamy do światłego kapitalizmu, w którym obrotne jednostki będą zdrowe, piękne i bogate. Bogaćcie się, hasło to po PRL-owskim poście kapitałowym padło na podatny grunt. Tak więc pieniądze starają się zdobyć wszyscy. Sam miraż ich zgromadzenia staje się już wystarczająco kuszący, by odmóżdżyć rozsądnych dotąd ludzi.

Tak stało się w przypadku reklamującej swe usługi firmy szczecińskiej „Global Partner". Za jej wiarygodnością dodatkowo przemawiało to, że właścicielami było dwóch obywateli niemieckich i jeden Francuz. Rozgłoszona przez nich w prasie oferta była atrakcyjna. Wystarczyło w mieszkaniu mieć wolny kąt, gdzie można pakować biżuterię, składać długopisy czy sortować prospekty. Zarobek, zgodnie z obietnicą Globalu, miał sięgać równowartości stu marek miesięcznie.

Aby jednak przystąpić do interesu należało wcześniej wysłać pod adresem firmy sto tysięcy złotych z wypełnionym formularzem ankiety.

Oczywiście reszty można się już domyślić. Oto „Global Partner" jako firma nigdzie i nigdy nie istniała. Sami zaś jej właściciele zostali ujęci na poczcie, kiedy to usiłowali pobrać ok. miliarda złotych, nadesłanych wraz ze zgłoszeniami.

Ale jak się okazuje, nie tylko szary śmiertelnik daje się skołować. Duże firmy, zatrudniające rzesze ekonomistów i doradców również dają się wpuszczać w maliny. Oto w tym samym Szczecinie dwójka obrotnych Włochów założyła firmę, która wyroby polskiej konfekcji miała zamiar tanio sprzedać tak w kraju, jak i za granicą. Założono sklep. Właściciele zawarli umowy ze szczecińskimi producentami sukienek, garsonek i innych damskich fatałaszków. Producenci przekazali kilka tysięcy sukienek do sklepu Włochów, wyznaczając termin zapłaty za towar po miesiącu. Już w kilka dni później w mieście huknęła wieść, że u Włochów można kupić sukienki za bezcen. I była to prawda. Jak później orzekli rzecznicy pokrzywdzonych firm, towar sprzedawany był po cenie znacznie niższej niż ta, po której np. określona bluzka została wyprodukowana. Włosi wiedzieli, czego chcą. Według wyliczeń cały towar miał być sprzedany w ciągu maksimum dwóch tygodni. Potem kilka miliardów złotych planowali zamienić na dolary, z którymi zamierzali opuścić po cichu Polskę. Na szczęście panowie zostali zatrzymani. Co z tego, gdy ich wierzyciele stracili towar, za który nie uzyskają nawet jednej trzeciej ceny jego faktycznej wartości?

Jaki morał wynika ze spraw wyżej przytoczonych? Otóż okazuje się, że na karku nie mamy już tylko rodzimych, ale i zagranicznych złodziei. Ci równie dobrze znają nieczyste chwyty w interesach co nieuczciwi rodacy. Cóż, za zachodnimi oszustami, co by powiedzieć, stoi ileśset lat parania się kapitalizmem, który można skutecznie okradać.

P.S.

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (redaktor naczelny 601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, MARIA PAWLAK** (sekretarz redakcji, 601-61-32, 48-14-30), **Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Ślifierz, Hanna Świeszczakowska, MARCEL TABOR** (zastępca red. naczelnego, 601-61-72, 48-14-30), **Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny).

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTATOR I ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Agata Guzdek-Wrotna** (601-61-15)

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

KOLPORTAŻ I MARKETING: **Krzysztof Niemiec, Teresa Tomaszewska,** (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **K. Górniak, J. Kirzyński, M. Owczarek, J. Paciorkowski, Z. Razmuk, K. Stępniak, L. Terpiłowski, J. W. Wójcik.**

ADRES REDAKCJI: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 36/38. Telefon sekretariatu 601-61-26, kasa 601-60-86, telefax 601-68-67 lub MSW 168-67. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od osób cywilnych i instytucji przyjmują terenowe oddziały Zakładu Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch".

II. Funkcjonariusze, pracownicy cywilni Policji oraz emeryci i renciści resortowi zamawiają prenumeratę u naszego kolportera w najbliższej jednostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu kierować pod adresem redakcji: **ul. Domaniewska 36/38 02-672 Warszawa tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867. Konto bankowe: Okręgowy Oddział NBP Warszawa nr 1052-7995-130 BGTiZ (prenumerata).**

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo – 7000 zł, cm² – 15 000 zł. Kolorowe dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 8 VI 1993 r.
Zam. 30663.
REDAKTOR DYŻURNY
PAWEŁ SZLACHETKO

panorama 997

MYŚLI

Dążenie do realizacji idei sprawiedliwości społecznej musi być zadaniem dla ruchów społecznych i rządów, w Polsce i we współczesnym świecie.

Jacek Kuroń

W polityce zagranicznej trzeba dbać o prostolinijność unikając inicjatyw i działań, na które nas nie stać.

prof. Jan Karski

Nikt nie zrachuje błędów, śmiesznych niedorzeczności, szaleństw, zbrodni popełnionych przez takich, co nie chcieli odejść od steru.

Paweł Jasienica

Wspólne niebezpieczeństwo należy odpierać zgodą.

Tacyt

ZAPAMIĘTAJ:

Aby tobie było dobrze, bądź dobry dla innych.

prof. Julian Aleksandrowicz

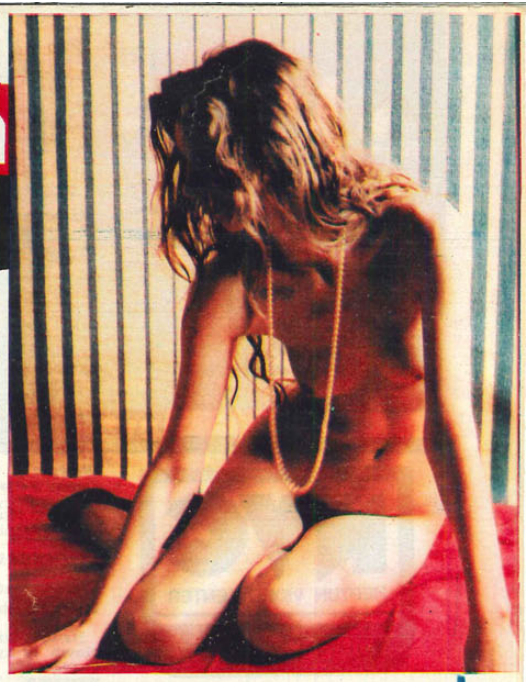

KRZYŻÓWKA nr 12

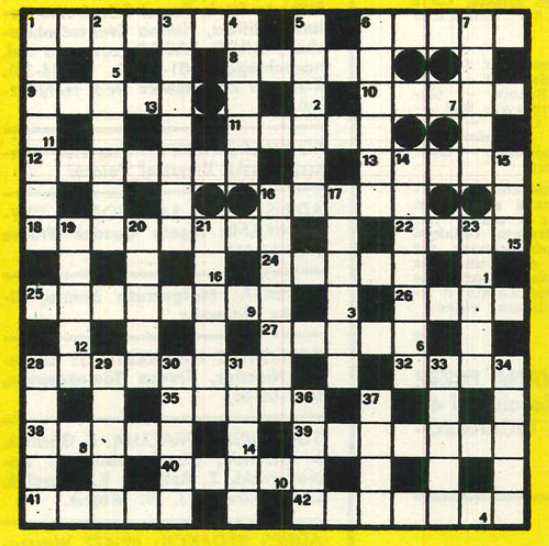

Poziomo: 1 — rejonowa policji, 6 — handluje kradzionym, 8 — awantura, 9 — od żelazka, 10 — lubi się urywać, 11 — łamane, niestety, często, 12 — między pierwszym a drugim aktem „Zemsty", 13 — cenna moneta Władysława Łokietka, 16 — kuzyn karpia, 18 — poważne przestępstwo, 22 — sportowe spotkanie, 24 — Indus wspak, 25 — oficer policji, 26 — część drogi do przebycia, 27 — tępa strona noża, 28 — przypowieść, 32 — miejsce pracy spustowego, 35 — zginęła z ręki Balladyny, 38 — najjaśniejsza gwiazda w Łabędziu, 39 — detektyw z powieści Chandlera, 40 — miasto nad Ochnią, 41 — kraina, skąd Janosik, 42 — pałacowe pomieszczenie.

Pionowo: 1 — złodziej specjalista, 2 — kontrolny telewizyjny, 3 — Augustin, konstruktor fregaty „Napoleon", w 1842 najszybszej, 4 — uczeń, 5 — głowiasta masłowa, krucha, 6 — buddyjska świątynia, 7 — drużyna, 14 — tajemniczy Sfinksa, 15 — as, 16 — cisawy koń, 17 — niezapomniany Valentino, 19 — poniżej ust, 20 — z wodą się nie brata, 21 — ach, zobaczyć go, 23 — diabeł, 28 — tak o więzieniu też, 29 — skaleczenie, 30 — wróżyła na dwoje, 31 — wykaz, 33 — wdzięk, czar, 34 — droga wysadzana drzewami, 36 — atak szału, 37 — równie daleki, jak Rzym.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać szyfr, przysłowie, który tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 16:

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16

Rozwiązania (sam szyfr) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem.

BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrodę — **500 000 złotych.**

Rozwiązanie krzyżówki nr 9:

„Stary karp widzi haczyk i łyka go z lubością".

Nagrodę wylosował **Wojciech Ostoja-Lniski** z Golubia-Dobrzynia, woj. toruńskie.

„MK"
12/93
KRZYŻÓWKA

FILATELISTYKA

Pierwszy znaczek propagujący światową kampanię przeciwko AIDS wydała w 1990 r. poczta ONZ. Natomiast poczta Węgier jako pierwsza z państw byłych demoludów wydała w 1989 r. znaczek poświęcony zapobieganiu narkomanii.

Ze zbiorów: Zbigniewa Lenartowicza

KAMPOL
SYSTEM OCHRONY SEZAM

Koncesjonowana
Agencja Ochrony
Mienia i Osób
05-220 Zielonka
ul. Przemysława 2
tel. 679-45-26 w. 932
679-48-00 w. 530

● FRASZKI ●

Granice demokracji

Niech rządzą wszyscy, lecz niepodobna,
by miał to robić każdy z osobna.

Próba zrozumienia

Tchórza także zrozumieć trzeba —
— byłby skończony, gdyby się nie bał.

Jerzy Leszczyński

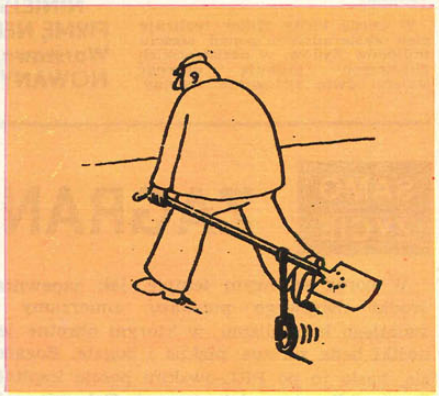

KONKURS — NIESPODZIANKA

Jeśli jesteś kierowcą lub właścicielem pojazdu, którego zdjęcie zamieściliśmy na naszych łamach, zgłoś się do redakcji. Czeka na Ciebie nagroda-niespodzianka.

tel. 43-98-10, 601-61-26, 601-49-70
adres: ul. Domaniewska 36/38, Warszawa

zdj. K. Mokrzyszewski